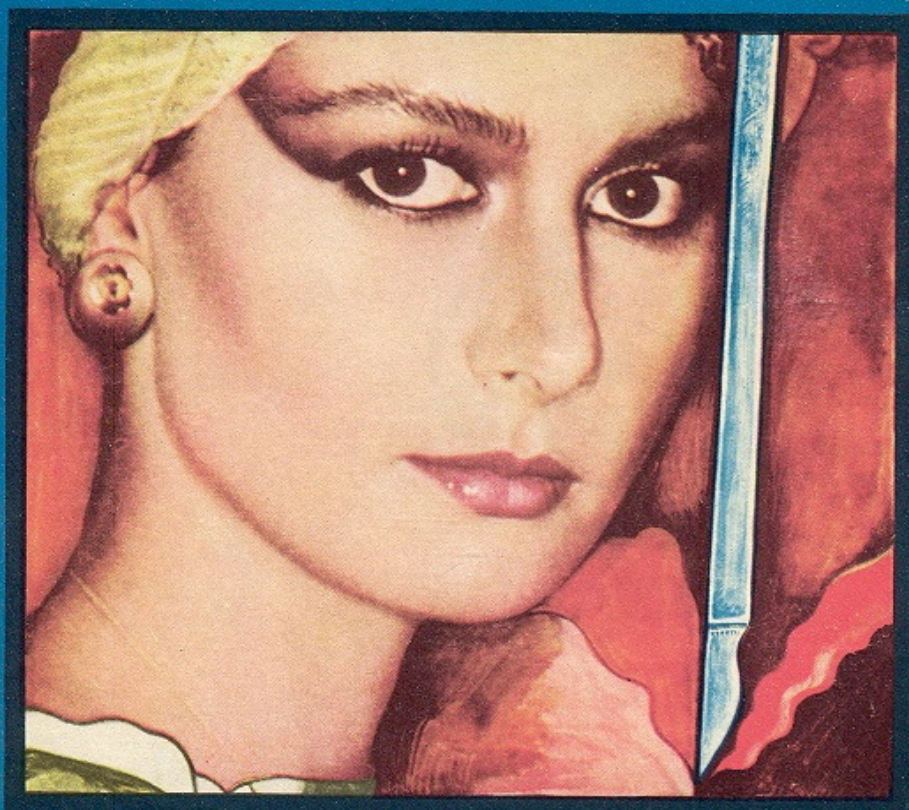


.. *Ewa wzywa 07...*



Zygmunt Zeydler Zborowski
KARDYNALNY BŁĄD



ISKRY

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07

Zygmunt Zeydler Zborowski KARDYNALNY BŁĄD



ISKRY - WARSZAWA • 1 9 76

KOZDZIAŁ I

Przymknął oczy. Pragnął choć na chwilę odgrodzić się od otaczającego go świata.

Był bardzo zmęczony. Ostatnia operacja wyczerpała go kompletnie. Przez dwie godziny miał nerwy napięte do ostatnich granic. Od precyzji każdego ruchu ręki zależało przecież życie tego człowieka. Teraz nastąpiła gwałtowna reakcja. Nie miał nawet siły, żeby uśmiechnąć się do Alicji

— Telefon do pana, panie doktorze. — Słowa te dotarły do niego jakby przez grubą warstwę waty.

Wolno wyciągnął rękę w kierunku słuchawki.

— Halo!

Posłyszał miękki, głęboki głos:

— To ty, Andrzej? Dzień dobry.

Zmęczenie zniknęło w jednej chwili. Serce zaczęło walić przyspieszonym rytmem. Nareszcie, nareszcie się odezwała. Od tylu dni czekał na jej telefon.

— Chciałbyś się ze mną dzisiaj zobaczyć? — spytała.

Oczywiście, że chciał. Pragnienie to było tak silne, że sprawiało mu nieomal fizyczny ból. Odwrócił się plecami do pielęgniarki, żeby w jego twarzy nie wyczytała wzruszenia.

— Wiec o dziewiątej. Dobrze?

— Dobrze. Gdzie? — Miał nadzieję, że przyjdzie do niego. Sam jednak nie chciał jej tego podpowiadać. Wolał, żeby to wyszło od niej. A zresztą było mu bardzo

niezręcznie mówić w tej chwili na ten temat. Alicja ciągle jeszcze kręciła się w pobliżu.

W słuchawce zapanowała cisza. - Halo! — powiedział niespokojnie, — Słyszysz mnie?

— Tak, słyszę. Zastanawiam się. Może na rogu placu Trzech Krzyży, w „Wilanowskiej”?

— Dobrze. O dziewiątej w „Wilanowskiej”. Przyjdę punktualnie.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się. Pochwycił niemiły błysk w oczach Alicji. Wyszała, zamykając energicznie drzwi za sobą. Wzruszył ramionami. ..Głupia dziewczyna - pomyślał zniecierpliwiony. Nie miał przecież wobec niej żadnych zobowiązań, albo prawie żadnych. Tylko jeden raz sprzeniewierzył się swej zasadzie, że lekarz nie powinien flirtować z pielęgniarkami i nie mógł sobie tego darować. Ostatecznie ani nie obiecywał jej małżeństwa, ani nie przysięgał dozgonnej miłości. Traktować to jako zupełnie przelotną, nic nie znaczącą przygodę. A jeżeli ona wiązała z tą miłostką jakieś nadzieje, to tym gorzej dla niej.

Machnął ręką, zdjął kitel i włożył marynarkę. Chciał jak najprędzej wydostać się ze szpitala. Miał dosyć białych fartuchów, czepków pielęgniarek i postękiwania chorych.

Wszedł Drozdowski. Jak zwykle pełen życia, energiczny, szybki w ruchach. Jego niespożyte siły i witalność były godne podziwu. Żaden z młodych lekarzy nie mógł się z nim równać pod względem wytrzymałości i odporności na brak snu i zmęczenie.

— No i jak tam, kolego?

— W porządku.

— Tak wyglądacie, jakby was ktoś przepuścił przez wyżymaczkę.

— Miałem dzisiaj ciężki dzień, panie docencie.

Drozdowski pokiwał głową.

— Tak. wiem. Niech pan wyjdzie trochę na świeże powietrze. Chyba na dzisiaj wykonał pan plan ponad normę?

— I ja tak myślę.

Północny wiatr uderzał w twarze przechodniów drobnym, twardym, śniegiem. Mierzwiński naciągnął czapkę na uszy, wsunął głęboko ręce w kieszenie płaszcza i .szedł długimi, energicznymi krokami. Ruch na świeżym powietrzu przywracał mu siły. dobrze było tak iść przez zawałone śniegiem ulice, walcząc z wiatrem, z zadymką. Taka sama zadymka była wtedy w Dolinie Kościeliskiej. To pierwsze spotkanie pamiętał dokładnie ze wszystkimi szczegółami. Pękło jej sznurowadło. Miał w kieszeni kawałek sznurka. Pomógł zasnurować but. Żartowali, śmiali się, było bardzo wesoło. Wrócili razem do Zakopanego, poszli na obiad do „Jędrusia”. Jakoś od razu doszło między nimi do bardzo miłego, bezpośredniego kontaktu. Na drugi dzień zabrali narty i pojechali na Kasprowy. Tak się zaczęło. Nie przypuszczał, że ta przygodna znajomość przerodzi się w miłość. Miał dużo najrozmaitszych przygód, ale nigdy nie był naprawdę zakochany. Dopiero teraz...

„Więc jednak zadzwoniła" myślał uszczęśliwiony. Chce się z nim zobaczyć. Po ostatniej rozmowie z nią bał się, że wszystko skończone... Jakżeż żałował, że postawił sprawę na ostrzu noża żądając, żeby rozeszła się z mężem. Wtedy powiedziała :

— Nie mogę tego zrobić. Lepiej, żebyśmy się nie spotykali.

Rozstali się jakby na zawsze. Zaraz na drugi dzień do niej zadzwonił, ale nie chciała z nim rozmawiać. Prosił, tłumaczył, przepraszał. W odpowiedzi usłyszał:

— Jeżeli będę miała ochotę zobaczyć się jeszcze z tobą, zatelefonuję. — Nie pozostawało mu nic innego jak tylko czekać. I właśnie dzisiaj, kiedy już zaczynał tracić nadzieję, usłyszał jej głos. Żałował, że nie chciała przyjść do niego, rozumiał jednak, że nie byłoby to zgodne z kobiecą taktyką. W tej sytuacji musiał na nowo zabiegać o jej względy. Spotkania w kawiarniach, nastrojowe spacerów w „Łazienkach", kolacyjki we dwoje w „Grand Hotelu", a dopiero po jakimś czasie... Był dobrej myśli. Umiał sobie radzić z kobietami, To już i tak duży sukces, że ona zatelefonowała, że chce się z nim zobaczyć. Nagle ogarnął go niepokój. A jeżeli wrócił jej mąż? Ale nie, to chyba niemożliwe. Przecież miał wrócić dopiero po Wielkanocy. Myśl, że miałby się dzielić Izą z innym mężczyzną, była tak nieznośna, że zagryzł usta do krwi. Nie, . nie, nigdy się na to nie zgodzi. Zmusi ją do rozejścia się z mężem. Przecież go nie kocha. Sama mu to powiedziała, że ich małżeństwo od początku było niezbyt udane. Nie mają dzieci, więc właściwie żadnych przeszkód, żadnych komplikacji. A może jednak istnieją jakieś komplikacje, o których on nie wie?

— Cześć, Andrzej. Dokąd tak pędzisz? Mierzwiński odwrócił się gwałtownie.

Tuż przy sobie zobaczył pyzată twarz Jurka Kalickiego. Lubił nawet dosyć tego chłopaka obdarzonego przez naturę doskonałym apetytem i dużym poczuciem humoru. W tej chwili jednak wolał być sam. Zbyt absorbowały go tamte sprawy, żeby prowadzić żartobliwą rozmowę.

— A, cześć. Jak się masz? — powiedział bez entuzjazmu.

Kalicki udał, że nie zauważył niechętnego tonu.

— Ale zadymka, co? Przyzwyczajamy się powoli do syberyjskiego klimatu.

Dokąd idziesz?

— Na obiad.

— A. to się znakomicie składa — ucieszył się grubas. — Ja także jestem piekielnie głodny. Jak byś się na to zapatrywał, żebyśmy razem coś przekąsili? Taka pogoda wymaga zwiększonej ilości kalorii Zresztą tobie, jako sławnemu lekarzowi, nie muszę tego tłumaczyć. No, gdzie zjemy obiadek?

Perspektywa wspólnego obiadu nie zachwyciła Mierzwińskiego, ale wiedział, że się nie wymiga.

— Wszystko mi jedno. Zaproponuj jakiś lokal — powiedział zrezygnowany.

— Może do „Kameralnej"?

— Dobrze.

Podczas obiadu Kalicki był bardzo rozmowny, co nie przeszkadzało mu jeść bez przerwy.

Mierzwiński, który zazwyczaj powstrzymywał przyjaciela od obżarstwa, tym razem nie zwracał uwagi na jego nieposkromiony apetyt. Jadł z roztargnieniem a na pewno nie umiałby odpowiedzieć na pytanie, co było na obiad? Zbyt był zajęty myślą o spotkaniu z Izą.

Przy czarnej kawie Kalicki spytał:

— Wybrałbyś się dzisiaj ze mną do kina na ósmą?

Mierzwiński drgnął i spojrzał przytomniej.

— Do kina? Nie, nie mogę. Jestem umówiony o dziewiątej.

— Kobieta?

— Niewykluczone.

— Czyżby pani Łastowska?

— Nie bądź zbyt domyślny.

Kalicki pogroził przyjacielowi swym tłustym palcom.

— Andrzej, Andrzej. Zobaczysz, że cię te baby w końcu zgubią. Powinieneś się ustatkować, ożenić...

— Dlaczego ty się nie żenisz? Kalicki skończył jeść tort i wysączył resztę kawy z filiżanki.

- Żenić się? Ja? Chyba tylko z dobrą kucharką. Inne propozycje matrymonialne nie interesują mnie. Gdzie się umówiłeś?

— W „Wilanowskiej”. Dlaczego pytasz?

— Nic, tak sobie. Opowiedz mi coś o tym twoim romansie.

— Wiesz, że nie lubię rozmawiać na te tematy.

— To o czym w ogóle można z tobą rozmawiać? O medycynie nie, bo masz tego dosyć w szpitalu, o kobietach nie, bo jesteś niesłychanie dyskretny. O polityce nie, bo to cię nudzi, więc w końcu o czym?

— O pogodzie.

— E, daj spokój. Ten temat już został dawno wyczerpany w prasie, w radio, w telewizji. A może ci opowiedzieć jakiś kawał?

— Jeżeli musisz...

Okrągła twarz Kalickiego rozjaśniła się.

— Mam doskonały kawał. Wczoraj mi opowiedzieli w redakcji. Czeka, czeka, uśmiejesz się do łez. — Sięgnął do kieszeni i nagle kąciki jego ust drgnęły i opadły melancholijnie. Wyglądał tak, jakby miał się za chwilę rozpłakać. — Nie mam... nie mam notesu — jęknął. — Musiałem go zostawić w tamtej marynarce. A to pech.

— A na pamięć nie pamiętasz?

— Skąd. Kto by sobie pamięć obciążał kawałami? Notuję, wszystkie dokładnie notuję.

— Nie martw się. Opowiesz mi innym razem — pocieszał go Mierzwiński. — Co się odwlecze, to nie uciecze. Chyba nie zgubiłeś tego notesu?

W oczach Kalickiego odmalowało się przerażenie.

— Rany boskie. A może?... Muszę natychmiast lecieć do domu i sprawdzić. Ale nie, nie mogłem zgubić. Na pewno jest w tej zielonej marynarce.' Muszę sprawdzić w zielonej marynarce. Proszę pana. Kelner. Szybko rachunek. Mierzwiński był rad, że w tak prosty sposób pozbył się towarzystwa przyjaciela. Do dziewiątej było jeszcze bardzo daleko, a czas włókł się nieprawdopodobnie wolno. Wróciwszy do domu, nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Nastawił telewizor, ale go zaraz zgasił. Chciał posłuchać radia — nic z tego nie wyszło. O czytaniu także nie było mowy. Zupełnie nie mógł się skupić. Litery tańczyły mu przed oczami. Nie rozumiał znaczenia poszczególnych słów, nie mówiąc już o całych zdaniach, które czytał po parę razy. Zrezygnował z lektury i odłożył książkę. Nagle przyszło mu na myśl, że może jednak Iza da się namówić i przyjdzie do niego. Rozejrzał się niespokojnie po swojej kawalerce i natychmiast zabrał się do pośpiesznego sprzątnięcia. Nie mógł jej przecież przyprowadzić do takiego bałaganu. Potem przypomniał sobie, że powinien kupić jakieś kwiaty na jej przyjęcie i nie tylko kwiaty. Nie miał kompletnie nic do jedzenia. Mogli co prawda pójść na kolację do „Grand Hotelu”, ale w domu kolacja we dwoje byłaby o wiele miłsza. Narzucił płaszcz i pędem zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

W samie na Nowogrodzkiej zaopatrzył się w niezbędne zapasy żywności, nie zapominając o butelce węgierskiego wina, a w kwaciarni na rogu Hożej kupił trzy piękne czerwone goździki.

Wszystkie te sprawunki zabrały mu trochę czasu i w końcu zaczął się niepokoić, że się spóźni. Szybko się ogolił, wziął prysznic, wyjął z szafy białą koszulę i nerwowo szukał spinek. Chciał koniecznie włożyć te spinki, które dostał wtedy od niej na pamiątkę ich pierwszego spotkania. Wiedział z doświadczenia, że takie różne drobiazgi wpływają na wytworzenie odpowiedniego nastroju.

Nareszcie był gotów. Spojrzał na zegarek. Za piętnaście dziewiąta. Więc jednak ten czas jakoś przeszedł. Do „Wilanowskiej” miał pięć minut drogi, ale wolał przyjść trochę wcześniej i zaczekać. I nagle zadzwieczał dzwonek, Mierzwiński pewny, że Iza zmieniła zdanie i przyszła do niego, skoczył do przedpokoju i szarpnął zasuwę. W drzwiach stał wysoki, barczysty mężczyzna w eleganckim zimowym płaszczu i w futrzanej czapce.

— Nazywam się Łastowski — powiedział. — Chciałbym się widzieć z doktorem Mierzwińskim.

Mierzwiński poczuł, że blednie.

ROZDZIAŁ II

Od czasu do czasu Walczak podejmował akcję, którą ochrzcił szumnym mianem „umuzycznianie Stefana”. Kupował bilety do Filharmonii i już na tydzień przed koncertem zaczynał „przygotowywać grunt”, posługując się różnymi chwytami propagandowymi.

— Muzyka świetnie działa na system nerwowy — mówił z przekonaniem. — Każdy lekarz ci to powie. Dobra muzyka działa kojąco nie tylko na ludzi, ale także i na zwierzęta. Teraz podobno nawet krowom przygrywiają w oborach, żeby dawały więcej mleka.

Downar nigdy nie był entuzjastą poważnej muzyki, a porównanie z krowami nie zachwycało go. Próbował oponować, zazwyczaj jednak zwyciężał Karol.

Tego dnia, kiedy po pracy rozstawali się w komendzie, Walczak powiedział:

— A nie zapomnij, że wieczorem idziemy na koncert.

— Przecież podobno wyjeżdżasz.

— Bądź spokojny. Będziemy tylko na pierwszej części, a potem pojedę do domu, spakuję się i na dworzec. Akurat zdążę na Koncert fortepianowy g-moll Prokofiewa. Przyjechał jakiś niemiecki pianista. Podobno znakomity. Tylko się nie spóźnij. Cześć.

Dwadzieścia po siódmej siedzieli już w błyszczących czerwieni fotelach.

Walczak z zainteresowaniem studiował program, Downar zaś senne spojrzenie skierował ku estradzie, na którą zaczęli wchodzić członkowie orkiestry. W pewnym momencie dojrzał kątem oka, że Karol dotyka prawego boku.

— Ciągle jeszcze dokucza ci ta blizna? Walczak potrząsnął głową.

— Nie, to taki odruch. Wszystko w porządku. Po prostu przyzwyczałem się.

Czasem tylko mnie tam jeszcze trochę swędzi, ale to raczej złudzenie.

— Miałeś szczęście.

— Chyba tak. Zaniedbałem sprawę. To niby nieważna operacja, a mogłem się w przyspieszonym tempie przejechać na tamten świat. Dużo zawdzięczam temu lekarzowi. Świetny chirurg, młody, ale zna się na rzeczy. Gdyby nie jego szybki refleks i momentalna decyzja, nie siedzielibyśmy dzisiaj razem w Filharmonii.

— Mam nadzieję, że zaniósł mu piękny bukiet.

— A cóż ty sobie wyobrażasz? Helenka już o tym pomyślała. W różyczki nawet wetknąłem dyskretnie butelkę koniaku. Nie chciał przyjąć, ale w końcu... Bardzo równy, sympatyczny facet. Jakbyś kiedyś miał jakieś komplikacje ze ślepą kiszka...

Umilkli, bo właśnie w tej chwili pojawił się na estradzie dyrygent, witany grzecznościowymi oklaskami.

Walczak słuchał w skupieniu symfonii Szostakowicza, poruszając od czasu do czasu dłonią w takt muzyki. Downar był zmęczony. Chwilami zapadał w słodki pół-sen, z którego wyrывało go fortissimo orkiestry. Kiedy ostatnie takty symfonii umilkły, publiczność gorącymi oklaskami wynagrodziła orkiestrę i dyrygenta, który kłaniał się jakby z pewną nonszalancją.

Przyszła wreszcie kolej na koncert fortepianowy Prokofiewa, który młody pianista wykonał znakomicie. Mimo braw i okrzyków „bis” niczego już nie zagrał nad program.

Wcześniejsze opuszczenie sali koncertowej ma tę dobrą stronę, że nic trzeba stać w szatni w kolejce. Błyskawicznie odebrali płaszcze, zbiegli po schodach i znaleźli się na ulicy.

— Na długo jedziesz? — spytał Downar.

— Myślę, że na jakieś dwa, trzy dni. Chcesz się przejść, czy podejdziesz ze mną do tramwaju?

— Pojadę tramwajem. Deszcz pada. Nie mam ochoty na spacer.

Pożegnali się na rogu Świętokrzyskiej. Walczak dogonił ruszającą z przystanku dwójkę, Downar zaś przeszedł na drugą stronę ulicy i wsiadł do piętnastki.

Pasażerów było niewielu. Najwidoczniej ludzie zrażeni kiepską pogodą woleli siedzieć w domach przy telewizorach aniżeli kręcić się po mieście.

Downar w melancholijnej zadumie patrzył na ociekającą deszczem szybę. Ogarniało go coraz większe zmęczenie. Głowę miał ciężką, ołowianą, a w okolicach kręgosłupa czuł niemiłe dreszcze. „Czyżby grypa?” pomyślał z niepokojem i zasępił się jeszcze bardziej. Perspektywa spędzenia kilku dni w łóżku napełniała go przerażeniem. Bardzo nie lubił chorować.

W kawalerce na Koszykowej było jakoś zimno i nieprzytulnie. Downar nastawił wodę na herbatę, przygotował sobie dwie pastylki „Asprocolu” i wyjął z szafy kożuszek, żeby się nim dodatkowo przykryć. Postanowił w zarodku zlikwidować wirus grypy.

Właśnie zastanawiał się nad tym, czy do herbaty wlać kieliszek rumu czy jarzębiaku, kiedy zadzwonił telefon.

Karol mówił szybko, nerwowo:

— Słuchaj, Stefan, mam do ciebie prośbę. Przed chwilą dzwonił do mnie Mierzwiński, ten chirurg, który mi wycinał ślepą kiszkę. Rozmawialiśmy dzisiaj o nim,

— No i co? — spytał Downar, ogarnięty nagłym niepokojem, że nie uda mu się skutecznie zwalczyć grypy.

— No i wyobraź sobie, facet twierdzi, że w jego mieszkaniu popełniono morderstwo. Błaga mnie o pomoc. Nie mogę się tym zająć, bo zaraz jadę na dworzec. Bardzo cię proszę, zobacz, co tam się siało. To niedaleko od ciebie, na Mokotowskiej, przy placu Trzech Krzyży. Zrobisz to dla mnie?

— Chyba nie mam innego wyjścia — westchnął Downar. — Podaj mi dokładny adres. — Przełożył słuchawkę do lewej reki, a prawą sięgnął po długopis.

*

Zgon nastąpił na skutek uszkodzenia lewej komory serca. Narzędzie zbrodni: lancet chirurgiczny o długości 20 cm. Cios został zadany z tyłu. Można przypuszczać, że morderca posiadał pewne wiadomości z dziedziny anatomii jak i umiejętność posługiwania się lancetem.

Downar wysłuchał lakonicznej opinii doktora Ziemby, zamieni! kilka słów z porucznikiem Olszewskim i zwróci! się do Mierzwińskiego.

— Może przejdziemy do kuchni — zaproponował. — Chciałbym z panem pomówić.

Usiedli przy małym, rozkładanym stoliku. Mierzwiński by! blady i z trudem panował nad zdenerwowaniem.

— Dzwonił do mnie Walczak — powiedział Downar. — Spieszył się na dworzec. Prosił, żebym ja zajął się tą sprawą.

Mierzwiński skinął! głową.

— Tak. Prosiłem majora Walczaka o pomoc. Dziękuję, że pan przyszedł.

Downar przez chwilę obserwował zmienioną twarz młodego lekarza.

— To konieczne, żeby się pan wziął w garść, panie doktorze — powiedział Downar. — Doskonale rozumiem pańskie wzburzenie, ale musi pan zapanować nad nerwami. Powinien się pan czegoś napić: kawy, herbaty, kieliszek jakiegoś alkoholu...

Mierzwiński potrząsnął! głową.

— Nie. to niepotrzebne, ja już jestem spokojny — uśmiechnął się z wysiłkiem. — To znaczy... prawie zupełnie spokojny.

— Czy mógłby pan w kilku zdaniach przedstawić przebieg wypadków?

— Oczywiście. Więc tak.. Więc... Trudno mi zebrać myśli. Nie wiem, od czego zacząć.

— Może ja panu pomogę. Proszę mi powiedzieć, czy był pan dzisiaj w szpitalu?

— Tak.

— O której wrócił pan do domu?

— Dokładnie nie pamiętam. Chyba było parę minut po szóstej.

— I co pan robił w domu?

— Nic specjalnego. Trochę sprzątałem, goliłem się. myłem...

— To znaczy, że gdzieś się pan wieczorem wybierał?

— Tak. Byłem umówiony...

— Z kobietą.? Chwila wahania.

— Tak...

— Gdzie się pan umówił?

— Tutaj na rogu... w „Wilanowskiej”.

— Od jak dawna znał pan denata?

— Wcale go nie znałem. Zobaczyłem go po raz pierwszy w życiu.

— Wiec dlaczego ten człowiek przyszedł do pana? Nie przychodzi się ni z tego ni z owego do kogoś, kogo się nie zna.

Wszedł porucznik Olszewski, trzymając w ręku kartkę papieru pokrytą maszynowym pismem.

— Znaleźliśmy to przy denacie — powiedział i wycofał się natychmiast do przedpokoju.

Downar przebiegł oczami tekst: „Pańska żona zdradza pana z chirurgiem, doktorem Andrzejem Mierzwińskim. Jeżeli chce się pan o tym przekonać, proszę pójść do mieszkania doktora Mierzwińskiego dziś około godziny dwudziestej pierwszej. Doktor Mierzwiński mieszka na ulicy Mokotowskiej niedaleko placu Trzech Krzyży, w tym nowym bloku, zaraz za sklepem monopolowym i restauracją. Dokładnego numeru niestety nie pamiętam. Trafi pan bez trudu. Proszę odwiedzić doktora Mierzwińskiego nie później niż o dwudziestej pięćdziesiąt. Życzliwy”.

Downar skończył czytać, starannie złożył kartkę i wsunął ją do bocznej kieszeni marynarki.

— Z tego wynika, że łączyły pana bardzo zażyłe stosunki z żoną denata. Tak przynajmniej twierdzi autor tego anonimu. Czy to jest zgodne z prawdą?

— To są moje prywatne sprawy — powiedział Mierzwiński, siłąc się na zdecydowany ton.

Downar uśmiechnął się.

— Ale trup w pańskim mieszkaniu chyba już nie jest pańską „prywatną sprawą”, panie doktorze. Proszę mi powiedzieć, czy pani Łastowska jest pańską przyjaciółką?

— Tak.

— I umówił się pan z nią w kawiarni czy u siebie tutaj?

— Mieliśmy się spotkać w „Wilanowskiej” o dziewiątej.

— Ale nim pan zdążył wyjść z domu, przyszedł jej mąż. Doszło pomiędzy panem a Łastowskim do ostrej wymiany zdań i...

— Do żadnej wymiany zdań nie doszło — przerwał pośpiesznie Mierzwiński. — W ogóle z nim nie rozmawiałem.

— Może mi pan opowie, jak to się wszystko odbyło — zaproponował Downar.

— No więc tak... Rzeczywiście przed samą dziewiątą przyszedł Łastowski. Znalazłem się w bardzo trudnej sytuacji. Wiedziałem, że ona tam czeka w kawiarni i że może przyjść do mnie i spotkać się z mężem. Nie chciałem jej na to narazić. Przeprosiłem więc Łastowskiego. Powiedziałem, że muszę na chwilę zejść na dół po papierosy i że zaraz wracam. Prosiłem, żeby zaczekał. Byłem zdecydowany odbyć z nim tę rozmowę. Zresztą nie miałem innego wyjścia. Pobiegłem do kawiarni. Kiedy wróciłem już nie żył.

— Czy pan widział się z panią Łastowską?

— Tak, oczywiście.

— I powiedział jej pan o tym, że jej mąż jest u pana?

— Tak. Musiałem jej powiedzieć.

— Jaka była jej reakcja?

— Zaskoczyła ją ta wiadomość.

— Czy przypomina pan sobie, co powiedziała?

— Co powiedziała? Zaraz..., zaraz... Powiedziała, że jest jej bardzo przykro, że to się wszystko niepotrzebnie ogromnie komplikuje i prosiła mnie, żebym spokojnie porozmawiał z jej mężem i żebym nie zrobił jakiegoś głupstwa. Dokładnie nie pamiętam, ale chyba właśnie powiedziała coś w tym rodzaju.

— I wrócił pan do domu.

— Tak. Natychmiast.

— I zastał pan trupa.

— Tak.

— Czy wychodząc z domu zamknął pan drzwi na zatrzask?

— Chyba nie.

. — A kiedy pan wrócił, czy drzwi były otwarte, czy też musiał je pan otwierać kluczem?

— Nie pamiętam, panie majorze. Słowo daję. Nie pamiętam. Wydaje mi się, że drzwi były otwarte, ale nie przysięgnę. Tak byłem tym wszystkim wstrząśnięty... Downar pokiwał głową.

— Rozumiem. Proszę mi jeszcze powiedzieć, ile mniej więcej czasu mogło upłynąć od pańskiego wyjścia z mieszkania do powrotu?

— Kilko minut, dziesięć, dwanaście. Ta kawiarnia jest tu obok, na rogu. Biegłem. Myślę, że doleciałem w trzy, cztery minuty. Nasza rozmowa także nie trwała dłużej i z powrotem byłem w cztery minuty, albo nawet mniej.

Downar pociągnął wierzchem dłoni po szorstkim policzku. Golił się wcześniej, o szóstej rano.

— Przykro mi, panie doktorze — powiedział, patrząc w oczy młodemu lekarzowi — ale pańskie opowiadanie jest niezbyt wiarygodne, a sytuację, w jakiej się pan znalazł, nazwałbym skomplikowaną.

Mierzwiński odetchnął głęboko i wyjął z kieszeni papierosa. Zaczynał się uspokajać. Próbował się nawet uśmiechnąć.

— Nie musi mnie pan przekonywać o tym, panie majorze, że moja sytuacja jest paskudna. Czy ma pan zamiar aresztować mnie?

— Obawiam się, że będę zmuszony zatrzymać pana.

— Pan mnie podejrzewa o popełnienie tej zbrodni?

Downar uśmiechnął się.

— A pan kogo by podejrzewał, będąc na moim miejscu? W pańskim mieszkaniu został zamordowany mąż pańskiej przyjaciółki. Morderstwa dokonano lancetem chirurgicznym. Twierdzi pan, że wyszedł pan tylko na kilka minut, a po powrocie zastał pan trupa. Jeżeli nie pan jest zabójcą tego człowieka, to musimy postawić hipotezę, że ktoś w ciągu tych kilku minut wdarł się do pańskiego mieszkania, wyjął z szafeczki lancet i pchnął nim Łastowskiego. Przyzna pan, że niezmiernie trudno uzasadnić logicznie taką hipotezę.

— Ma pan rację — przytaknął Mierzwiński. — To brzmi nieprawdopodobnie. Czy nie sądzi pan, że gdybym ja zabił tego człowieka, to nie telefonowałbym do majora Walczaka, nie zwracałbym się do milicji?

Downar był przygotowany na taką argumentację.

— Gdyby zbrodnia została popełniona z premedytacją — powiedział wolno, jakby chciał, żeby jego rozmówca dobrze zrozumiał każde słowo — to oczywiście pańskie rozumowanie miałoby realne podstawy. W wypadku jednak zabójstwa w afekcie, zawiadomienie milicji jest naturalną konsekwencją powstałej sytuacji. Usunięcie zwłok jest rzeczą bardzo trudną i niebezpieczną. Najlepiej wezwać milicję i powiedzieć, że jakiś nieznany sprawca dokonał morderstwa.

— Więc uważa pan, że będzie mi trudno przekonać sąd o tym, że nie mam z tym nic wspólnego — powiedział cicho Mierzwiński.

Downar potrząsnął głową.

— Tego nie twierdzę. Chciałem tylko, żeby pan sobie należycie uzmysłowił, że to nie będzie takie proste. Zbieg okoliczności rzeczywiście fatalny i w tej chwili

nie widzę żadnych faktów, które mogłyby przemawiać na pańską korzyść. Chyba ten lancet...

— Lancet? — zdziwił się Mierzwiński? — Przecież to mój lancet. Właśnie tym lancetom został zabity... To dowód przeciwko mnie...

— Myli się pan. To nie jest dowód przeciwko panu. Zakładamy oczywiście zabójstwo w afekcie, w czasie jakiejś sprzeczki, kłótni... W takich wypadkach może dojść do bójki, może jeden drugiego uderzyć czymś ciężkim, chwycić za szyję i udusić, ale trudno sobie wyobrazić, żeby podczas bardzo gwałtownej wymiany zdań kłós wyjął z szafeczki z narzędziami lancet i zadał przeciwnikowi cios w plecy. To jedyny element w tej sprawie, przemawiający na pańską korzyść.

Mierzwiński był wyraźnie zaskoczony.

— Wie pan, że zupełnie o tym nie pomyślałem. Byłem przekonany, że właśnie ten nieszczęsny lancet to moja zguba. Więc wierzy mi pan, że jestem niewinny? Downar chciał coś powiedzieć, ale w tej chwili wszedł Olszewski.

— Jesteśmy gotowi. Czy można zabrać zwłoki?

— Tak. Można zabrać zwłoki — odparł Downar.

*

Jeszcze tego samego wieczoru Downar odwiedził panią Łastowską. Była zaskoczona wizytą o tak późnej porze i nie wysilała się na zbytnią uprzejmość.

— Pan z milicji? A o co właściwie chodzi? Właśnie kładłam się spać.

— Przykro mi, że jestem zmuszony panią niepokoić — powiedział Downar. — Chodzi o pani dobrego znajomego, o doktora Mierzwińskiego.

— Co się stało? Miał jakiś wypadek?

— Kiedy po raz ostatni widziała pani pana Mierzwińskiego?

Zawahała się.'

— Proszę mówić prawdę. Sprawa jest bardzo poważna — powiedział z naciskiem Downar.

— Widziałam się z nim dzisiaj w kawiarni, o godzinie dziewiątej. Ale może mi pan wreszcie powie, co się stało?

— Pani mąż został zamordowany w mieszkaniu doktora Mierzwińskiego.

— Jezus Maria! Oskar? Zamordowany?

— Tak.

— Kiedy to się stało?

— W momencie kiedy państwo spotkali się w kawiarni. Tak przynajmniej utrzymuje doktor Mierzwiński.

— A pan przypuszcza, że to on zabił mojego męża?

— Ja, proszę pani, nie bawię się w żadne przypuszczenia. Przeprowadzam wstępne dochodzenie w tej sprawie. Dlatego pozwoliłem sobie panią niepokoić o tak późnej porze. Proszę mi powiedzieć, kiedy pani umówiła się z doktorem Mierzwińskim?

— Zadzwoiłam do niego dzisiaj do szpitala.

— Czy ktoś wiedział o tym spotkaniu?

— Skądże W każdym razie ja nikomu nie mówiłam. Chyba żeby Andrzej... ale nie sądzę...

— Przy pani mężu znaleźliśmy paszport. Czy mąż pani wyjeżdżał ostatnio za granicę?

— Tak. Był w NRD, w Wiedniu, w Szwajcarii.

— Kiedy wrócił?

— Wczoraj. Widocznie nie zdążył jeszcze oddać paszportu.

— Jeździł służbowo?

— Oczywiście. Mój mąż pracował w handlu zagranicznym.

Downar bacznie obserwował młodą kobietę. „Fantastyczna babka” myślał, wodząc wzrokiem po dorodnej postaci pani Łastowskiej. „Trudno się dziwić, że ten doktorek oszalał dla niej”.

— Mam wrażenie, że pani niezbyt przejęła się wiadomością o śmierci męża.

— Nie lubię udawać. Od dawna byliśmy sobie najzupełniej obojętni. Nasze małżeństwo miało charakter wyłącznie oficjalnego związku. Każde z nas miało swoje prywatne życie. Dlatego wiadomość o jego śmierci nie wywarła na mnie większego wrażenia. Zresztą w ogóle nie jestem osobą, która czymkolwiek zbyt się przejmuje. To nie leży w moim usposobieniu. Nie jestem zdolna do bardzo intensywnych uczuć, a tym bardziej do ich okazywania.

— Czy mogłaby mi pani opowiedzieć o swoim dzisiejszym spotkaniu z doktorem Mierzwińskim?

— Niewiele jest do opowiadania. Przyszłam do kawiarni punktualnie o dziewiątej, a może nawet dwie, trzy minuty wcześniej, zaraz po mnie wpadł bardzo podniecony Andrzej, to znaczy doktor Mierzwiński, i powiedział, że u niego w mieszkaniu jest mój mąż i że zaraz musi wracać. To właściwie wszystko.

— Coś mi się tu nic bardzo zgadza — powiedział w zamyśleniu Downar. — Bo... jeżeli, jak pani twierdzi, była pani dla męża osobą zupełnie obojętną, to dlaczego wybrał się na rozmowę z doktorem Mierzwińskim? Chyba te sprawy nie powinny go były tak dalece interesować.

Uśmiechnęła się.

— O, pan nie znał mojego męża. Cierpiał na ogromny przerost tak zwanej „męskiej ambicji”. W najmniejszym stopniu nie interesował się mną jako kobietą, ale byłam oficjalnie jego żoną i nie mógł znieść myśli, że go zdradzam.

— Przed chwilą powiedziała pani, że każde z państwa miało swoje prywatne życie — zauważył Downar.

Pani Łastowska znowu się uśmiechnęła.

— Co innego domyślać się pewnych rzeczy, a co innego mieć absolutną pewność. Żaden mężczyzna nic lubi uchodzić za rogowca, choćby nawet od lat nic go z żoną nie łączyło.

— W jaki sposób mąż pani dowiedział się, że coś panią łączy z doktorem Mierzwińskim?

— Nic mam pojęcia. Na pewno nie ode mnie.

Downar pokręcił głową.

— Ciekawe. Dopiero wczoraj wrócił z zagranicy, a już dzisiaj dowiedział się, że pani i doktor Mierzwiński... Znakomita służba informacyjna.

— Czy Andrzej...? Czy Mierzwiński został zaarrestowany?

— Został chwilowo zatrzymany.

— Ja absolutnie nie wierzę, żeby on zabił mojego męża.

— A kto to mógł zrobić? Jak pani sądzi?

— Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć?

— I nawet się pani nie domyśla? . — Absolutnie nie.

Downar westchnął.

— To przykre. Miałem nadzieję, że pani mi pomoże w rozwiązaniu tej zagadki. Pani przecież najlepiej orientuje się w swoich rodzinnych stosunkach. Komu mogło zależeć na śmierci pani męża? Z tych rozważań wyłączamy oczywiście, przynajmniej na razie, osobę pani i pana Mierzwińskiego.

— Chyba pan nie przypuszcza, że to ja w porozumieniu z Andrzejem...

— To byłoby najprostsze rozwiązanie sprawy — uśmiechnął się Downar. — Ale muszę panią pocieszyć, że ja nie lubię prostych spraw. Są nieinteresujące.

— Pan sobie ze mnie żartuje.

— Skądże. Mówię zupełnie poważnie. Ale, ale, dobrze, że sobie przypomniałem.

Czy ma pani w domu maszynę do pisania?

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

— Maszynę do pisania? Mam. Dlaczego pan pyta?

— Dlatego, że muszę natychmiast napisać pewien list, koniecznie na maszynie.

Więc jeżeli pani pozwoli...

Była oszołomiona.

— No cóż... Proszę bardzo. Maszyna stoi w tamtym pokoju. Zaraz zapalę tam światło.

ROZDZIAŁ III

— Bardzo przepraszam, panie docencie, ale nigdzie nie mogę znaleźć doktora Mierzwińskiego.

Drozdowski, który właśnie z ogromną uwagą oglądał jakieś zdjęcia rentgenologiczne, odwrócił głowę, zdjął okulary i spojrzał na dziewczynę.

— Doktora Mierzwińskiego nie będzie dzisiaj w szpitalu.

— Chory?

— Doktora Mierzwińskiego nie będzie dzisiaj w szpitalu — powtórzył Drozdowski, i wrócił do swojego zajęcia.

— A co z operacją tego chłopca? — spytała Alicja.

— Doktor Kornak zastąpi Mierzwińskiego. Niech go pani do mnie poprosi.

Po chwili do gabinetu docenta wszedł doktor Kornak. duże, ciężkie chłopisko, o szerokich ramionach i potężnych rękach nadających się bardziej do rękawic

boksyerskich aniżeli do instrumentów chirurgicznych, co nie przeszkadzało, że był bardzo dobrym chirurgiem. Drozdowski darzył go dużym zaufaniem.

— Słucham, panie docencie.

Drozdowski wskazał krzesło, stojące przed biurkiem.

— Niech pan siada, panie kolego. Chciałbym pana prosić, żeby pan dzisiaj zastąpił Mierzwińskiego.

— A co się dzieje z Andrzejem? Chory?

— Ma tam jakieś sprawy rodzinne do załatwienia — powiedział wymijająco Drozdowski. — Więc zastąpi go pan?

— Oczywiście.

Zaledwie 'drzwi się zamknęły za doktorem Kornakiem, kiedy do gabinetu znowu weszła Alicja. Poprawiła czepeczek na jasnych włosach i powiedziała:

— Jakiś pan do pana docenta.

— Niech go pani poprosi.

Wszedł Downar, przedstawił się i uściśnął wyciągniętą dłoń.

— To pan do mnie telefonował — powiedział Drozdowski. — Proszę, niech pan siada. Czy to rzeczywiście coś poważnego z doktorem Mierzwińskim?

— Tak. To dosyć poważna sprawa. W jego mieszkaniu zamordowano człowieka. Drozdowski gwizdnął przeciągle, co niezbyt licowało z powagą docenta i kierownika kliniki.

— O, do licha. Nie przy puszczałem... Sądziłem, że może się gdzieś urznął i dlatego milicja...

— Czy doktor Mierzwiński nadużywa alkoholu? — spytał Downar.

Drozdowski energicznie potrząsnął głową.

— Nie. Nigdy nic takiego nie zauważyłem. Być może, że od czasu do czasu lubi sobie wypić kieliszek czy dwa, ale żeby nadużywał alkoholu... nie. W każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Czy sądzi pan, że Mierzwiński popełnił tę zbrodnię?

— Nie wiem — odparł Downar. — Na razie nie mogę jeszcze powiedzieć nic pewnego w tej sprawie. Usiłuję zebrać trochę materiału, zorientować się... Czy mógłby pan, panie docencie, w kilku słowach scharakteryzować doktora Mierzwińskiego?

Drozdowski poprawił się w fotelu i wyjął z szuflady biurka papierosy.

— No cóż... Doktor Mierzwiński cieszy się jak najlepszą opinią zarówno u mnie jak i swoich kolegów. Sumienny, pracowity, punktualny, a przede wszystkim bardzo zdolny chirurg. Powierzam mu trudne, skomplikowane operacje.

— Jednym słowem same superlatywy. Czy do tej charakterystyki nie może pan dorzucić jakichś cech ujemnych?

— Chyba tylko to, że zbyt interesuje się kobietami i że swoich przygód z nimi nie traktuje poważnie. Ale przecież nie możemy tego uważać za ujemną cechę. Ostatecznie Mierzwiński to młody człowiek, pełen temperamentu, a młodość ma swoje prawa.

— Widziałem tu bardzo ładne dziewczęta w białych czepeczkach — powiedział Downar.

Drozdowski uśmiechnął się.

— Zapewniam pana, panie majorze, że to nie moja zasługa. Tak się jakoś składa, że nasza klinika ma szczęście do ładnych pielęgniarek. Ale widzę, że pan ma bystre oko w tych sprawach.

— Czy doktor Mierzwiński flirtuje także i z pielęgniarkami?

— Czy nie za dużo pan ode mnie wymaga? Bardzo żałuję, ale tego rodzaju informacji nie jestem w stanie panu udzielić. Nie interesuję się prywatnym życiem mojego personelu i nie mam pojęcia, czy Mierzwiński z pielęgniarkami... Możliwe, bardzo możliwe... Niech mi pan powie, czy długo będziecie go trzymali?

— Nie potrafię panu w tej chwili odpowiedzieć na to pytanie. To będzie zależało od prokuratora.

— A kiedy będzie coś wiadomo? Chciałbym jak najprędzej otrzymać jakąś wiadomość. Muszę sobie przecież zorganizować pracę w klinice.

Downar pokiwał głową.

— Oczywiście. Jutro do pana zadzwonię. Na razie nie zabieram czasu i dziękuję za rozmowę. Do widzenia.

W „Wilanowskiej” kelnerki doskonale pamiętały elegancką panią. Nieczęsto zdarzało im się widzieć takie „szałowe” futro z nurków. Tak, tak, przyszła późnym wieczorem, była może dziewiąta, może później. Usiadła w ostatniej sali, na górze. Zaraz potem wbiegł do kawiarni jakiś mężczyzna. Nie zdjął płaszcza, zamienił parę słów z tą panią i wyszedł. Ona także wyszła.

— Czy słyszała pani, o czym rozmawiali? — spytał Downar.

- Nie. Żadna z kelnerek nie słyszała rozmowy. Oboje mówili bardzo cicho.

Z kawiarni Downar wrócił do komendy. Tutaj dowiedział się, że szef chce się z nim widzieć.

— Prokurator nie chce wydać nakazu aresztowania — powiedział Leśniewski. — Domaga się dokładniejszego, szczegółowego opracowania sprawy. Twierdzi, że to żaden dowód, iż zamordowano tego człowieka w mieszkaniu Mierzwińskiego i uważa, że okoliczność ta raczej przemawia na korzyść młodego chirurga.

Downar pokiwał głową.

— W tym wypadku zgadzam się z decyzją prokuratora. Wydaje mi się, że jest najzupełniej słuszna. Trzeba być kompletnym kretyńcem, żeby zabijać męża swej kochanki w swoim własnym mieszkaniu i do tego lancetem chirurgicznym, a Mierzwiński przecież robi wrażenie inteligentnego i przytomnego człowieka.

— Nie bierzesz pod uwagę zabójstwa w afekcie? Bywają przecież wypadki, że ludzie działają pod wpływem chwilowego, gwałtownego wzburzenia.

— Oczywiście — przytaknął Downar. — Ale musimy pamiętać o tym, że cios został zadany z tyłu lancetem, który musiał być wyjęty z szafeczki. To nie ma nic wspólnego z zabójstwem w afekcie.

Leśniewski zamyślił się, zapalił papierosa i dopiero po chwili powiedział:

— W zasadzie masz rację, tylko... Widzisz... nie możemy wykluczyć, że morderca przewidział tok naszego rozumowania. Nie zapominaj o tym, że najlepszą gwarancją bezkarności jest pozornie bezsensowny czyn. Jeżeli na przykład ja w tej chwili uderzę cię w głowę popielniczką i zabiję, następnie zaś wyjdę na chwilę do toalety, wrócę i narobię krzyku, że ktoś zamordował majora Downara. to przecież mnie nikt nie będzie podejrzewał, absolutnie nikt. Downara nie zaskoczyła bynajmniej ta argumentacja.

— To co mówisz, jest oczywiście zupełnie słuszne z teoretycznego punktu widzenia i nie myśl, że nie brałem pod uwagę takiej ewentualności, ale po rozmowie z Mierzwińskim taka hipoteza wydaje mi się zupełnie nieprawdopodobna.

— Intuicja — uśmiechnął się Leśniewski, który był zwolennikiem konkretnych faktów i z dużą rezerwą odnosił się do wszelkiego rodzaju odczuć, przeczuć, domysłów i temu podobnych czynników emocjonalnych.

— Oczywiście, że intuicja — powiedział Downar. — Przypomnij sobie, ile już razy prowadziłem dochodzenie na tak zwany „niuch” i osiągałem nie najgorsze rezultaty.

— To prawda — przyznał Leśniewski. — Zresztą w tej chwili nie będziemy tracić czasu na akademickie dyskusje. Powiedz oni lepiej, co myślisz o tym morderstwie? Jakie jest twoje zdanie?

Downar wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem. Właściwie jeszcze nie mam żadnego zdania w tej sprawie. Za mało jest danych. Niezbyt jasno rysuje mi się postać pani Łastowskiej.

— Mówisz o żonie zamordowanego?

— Tak. To bardzo piękna kobieta i bardzo opanowana.

— Zidentyfikowała zwłoki?

— Tak. Ani drgnęła. Podejrzewasz ją. Sądzisz, że to ona?...

— Osobiście na pewno nie. W czasie to się nie mieści. Chyba że miałyby wspólnika.

— Hm, — Leśniewski zamyślił się i sięgnął po nowego papierosa. — Nie ma rzeczy niemożliwych na tym świecie. Teoretycznie to byłoby do wykonania.

— Oczywiście. Przyjmijmy, że piękna pani ma nowego przyjaciela i że przy jego pomocy chce się pozbyć jednocześnie i męża, i niewygodnego kochanka, który już jej się znudził, a który jest dość natarczywy. Przyjaciel lokuje się na klatce schodowej, czeka na moment, kiedy Mierzwiński wyjdzie z mieszkania, błyskawicznie wchodzi, zamienia parę słów z Łastowskim, wbija mu lancet pod lewą łopatkę i ucieka.

— Tak — pokiwał głową Leśniewski. — To ma cechy prawdopodobieństwa. Zbrodni musiał dokonać ktoś, kto był doskonale zorientowany w sytuacji. Jakie masz plany na najbliższą przyszłość?

— Jeszcze nie mam żadnych konkretnych planów, ale chyba pójdę na pogrzeb. Atmosfera cmentarza nastraja mnie zawsze filozoficznie i pobudza do myślenia.

Wśród umarłych można się czasem dowiedzieć ciekawszych rzeczy aniżeli wśród żywych.

— Życzę ci powodzenia.

Downar wstał i ruszył ku drzwiom. Już położył rękę na klamce, gdy nagle odwrócił się i spytał:

— A co z nakazem rewizji? Leśniewski uderzył się dłonią w czoło.

— Do licha! Zupełnie zapomniałem. Prokurator podpisał nakaz rewizji. Zaraz ci go dam. — Z plastikowej teczki wyjął urzędowy papier i podał go Downarowi.

— Masz. Prokurator dzwonił do mnie w tej sprawie. Prosił, żeby rewizję przeprowadzić w sposób bardzo taktowny. Liczę na ciebie. Weź sobie kogoś odpowiedniego do pomocy.

— Pójdzie ze mną Olszewski. On ma dużą wprawę w tych sprawach.

Rewizja przeprowadzona w mieszkaniu państwa Łastowskich trwała dość długo i nie przyniosła specjalnych rezultatów. Downara zainteresowało jedynie pismo z Wydziału Spadków przy Ministerstwie Spraw Zagranicznych. W piśmie tym nie było żadnych szczegółów. Proszono jedynie pana Łastowskiego o osobiste lub telefoniczne porozumienie się z wydziałem.

Po zakończeniu swych niemiłych czynności, Downar spytał:

— Czy mąż pani otrzymał w ostatnich czasach jakiś zagraniczny spadek?

— Tak. W Filadelfii zmarł bliski krewny mojego męża. Podobno zostawił spadek. Dokładnie nie znam jeszcze tej sprawy. Nie miałam czasu tym się zająć. To pismo przyszło przed samym przyjazdem mego męża.

Pojechali do Wydziału Spadków. Tutaj dowiedzieli się, że rzeczywiście stryj Oskara Łastowskiego, Hieronim Łastowski zmarł w Filadelfii, pozostawiając bratankowi niebagatelny spadek, opiewający na łączną sumę milion pięćset tysięcy dolarów. Na wypadek śmierci Oskara Łastowskiego cały majątek przechodził na jego żonę Izabelę.

Po otrzymaniu tych informacji Downar spojrział na Olszewskiego, a Olszewski na Downara. To już był jakiś punkt zaczepienia i to dosyć poważny.

— Czy pan Łastowski był tutaj u panów? — spytał Downar urzędnika.

— Tak. Zatelefonował i przyszedł.

— I udzielił mu pan tych informacji?

— Oczywiście. Po to wezwaliśmy go.

— Czy przyszedł sam czy z żoną?

— Z żoną. Prosiłem, żeby przyszli oboje, ponieważ żona pana Łastowskiego jest wymieniona w testamencie i należało dokonać pewnych formalności. Czy coś się stało, panie majorze?

— Tak. Oskar Łastowski został zamordowany. Dobrze by było, żeby panowie wstrzymali normalny tok postępowania spadkowego aż do zakończenia śledztwa w tej sprawie. Otrzymacie oficjalne pismo od nas z komendy.

— Będę się musiał porozumieć z moimi zwierzchnikami — powiedział urzędnik.

— To rzeczywiście bardzo przykra sprawa.

Kiedy wracali do komendy, Olszewski powiedział:

— Zdaje się, że mamy bardzo przekonujący motyw zbrodni.

Downar pokiwał głową.

— Tak. Łastowscy źle ze sobą żyli. Czekala ich zapewne sprawa rozwodowa i wtedy...

— I wtedy na dolary stryja Hieronima pani Łastowska nie mogłaby oczywiście liczyć — dokończył Olszewski.

ROZDZIAŁ IV

Po wyjściu z tymczasowego aresztu, Mierzwiński zatelefonował do Izy.

— Już cię puścili? — spytała zaskoczona.

— Martwisz się, że nie siedzę?

— Nie, skądże. Wprost przeciwnie, cieszę się. Jestem tylko trochę zdziwiona.

Myślałam, że...

— Że dostanę co najmniej z dziesięć lat. Nie rozpaczaj. Nic straconego. Sprawa jeszcze nie jest zakończona.

— Głupstwa gadasz. Co cię ugryzło, Andrzej?

— To chyba ciebie coś ugryzło.

— Czego ty chcesz ode mnie? Tak mówisz, jakbym ja była winna, że Oskar...

— Chciałbym się z tobą zobaczyć.

— Nie sądzisz, że w tej sytuacji będzie znacznie lepiej, żeby nas nie widywano razem.

— Dlaczego?

— Na pewno jesteś pod obserwacją.

— No więc co z tego? Niech mnie obserwują, jak mają ochotę. Gwiżdżę na to.

Chcę się z tobą zobaczyć.

W słuchawce zapanowała cisza.

— Halo! Halo! Iza... Jesteś?

— Jestem. Namyślałam się. No dobrze. Jak chcesz koniecznie... Gdzie się spotkamy?

— Byle nie w „Wilanowskiej”.

— To może w „Nowym Świecie”? Albo nie, lepiej w „Krokodylu”. Tam jest chyba mniejszy tłok. O piątej. Dobrze?

Oboje przyszli punktualnie. Spotkali się w szatni. Znaleźli zaciszny stolik.

Zamówili kawę i ciastka.

— Mizernie wyglądasz, biedaku — powiedziała pani Łastowska, ale w tych słowach nie było szczerego współczucia.

Mierzwiński wzruszył ramionami.

— Pobyt w kryminale nie wpływa dodatnio na cerę.

— Nie przesadzaj. Nie siedziałeś znowu tak długo.

— Czterdzieści osiem godzin także wystarczy. Przyznam ci się, że w tej dziedzinie nie mam większych aspiracji.

— Gniewasz się?
— Nie. Za co miałbym się na ciebie gniewać?
— Właśnie nie wiem. Jesteś jakiś rozżalony, niechętny...
Potarł dłonią czoło.
— Nie możesz się dziwić. Ta cała historia bardzo wytrąciła mnie z równowagi. To jednak ciężkie przeżycie. Jak myślisz... Kto to mógł zrobić?
— Co?
— No jak to co? Pytam, kto mógł zamordować twojego męża?
— A skądżeż ja mogę wiedzieć?
— Wszystko wskazuje na to, że ja jestem mordercą. A ja go nie zabiłem. Rozumiesz? Ja go nie zabiłem!
Rozejrzała się niespokojnie dookoła.
— Cicho. Na miłość boską... Uspokój się.
Przez chwilę sapał w milczeniu, rzucając na nią niechętnie, prawie wrogie spojrzenia. Kiedy się znowu odezwał, już nie podnosił głosu.
— Łatwo ci mówić, bo tobie nic nie grozi, absolutnie nic. Ale ja... Jeżeli nie znajdą prawdziwego sprawcy, to wsadzą mnie do więzienia, wytoczą sprawę o zabójstwo i...
— Co za fatalny zbieg okoliczności — westchnęła.
Przyjrzał jej się uważnie. Zarówno w jej zachowaniu, jak i w tym wszystkim, co mówiła, zupełnie nie wyczuwał troski czy niepokoju o niego. Słowa dźwięczały zdawkowo, obojętnie. Zaczynało go to drażnić, a nawet budzić podejrzenia.
„Może ona czegoś się domyśla, coś wie?”
— Co ty właściwie myślisz o tej całej historii ?
Westchnęła.
— Cóż mam myśleć? Nic. Jeżeli ty tego nie zrobiłeś...
Zachnął się.
— Oszalałaś? Więc jednak mnie podejrzewasz?
— Nie podejrzewam cię, ale...
— Ale co? No, mówże!
Wyjęła z torebki lusterko i szminkę i zaczęła sobie poprawiać makijaż.
-- Nie męcz mnie. Nic nie wiem. absolutnie nic nie wiem. Jakie to wszystko straszne. Przecież to był mój mąż...
— Chyba nie bardzo przejęłaś się jego śmiercią.
Daj mi spokój. Uwziąłeś się dzisiaj na mnie.
— I ty naprawdę nie domyślasz się, kto mógł to zrobić?
— Nie mam pojęcia.
— Ktoś chyba wiedział, że ty będziesz na mnie czekała w kawiarni, że muszę wyjść z mieszkania o tej a o tej godzinie, że wreszcie twój mąż przyjdzie do mnie przed samą dziewiątą. Powiedz, z kim rozmawiałaś o naszym spotkaniu?
— Z kim rozmawiałam? Bo ja wiem. Chyba z nikim. Po cóż miałabym z kimś rozmawiać na ten temat?

— W takim razie nic nie rozumiem. Cała ta sprawa robi wrażenie czegoś przemyślanego, zaplanowanego...

Dotknęła jego dłoni.

— Daj spokój. Przestańmy o tym mówić. Nic mądrego nie wymyślimy. Po co się denerwować.

— Masz rację, po co się denerwować — powtórzył cicho. — W tym wszystkim najgorsze jest to, że ty mnie podejrzewasz o popełnienie tej zbrodni.

— Ależ ja cię nie podejrzewam. Uśmiechną się melancholijnie.

— Ty mnie nie podejrzewasz, tylko trudno ci wyobrazić sobie, że ktoś oprócz mnie mógłby zamordować twojego męża.

Mierzwiński źle spał tej nocy, dużo gorzej niż w aresztanckiej celi. Postanowił sobie niczym się nie przejmować, ale w praktyce okazało się, że to nie jest takie proste. Z nastaniem nocy widmo więziennych krat nie przestawało go dręczyć.

Na domiar złego poczytał sobie do poduszki książkę Jerzego Sawickiego pt.

„Sędziowie są omylni”, co bynajmniej nie wpłynęło dodatnio na jego samopoczucie. „Skażę mnie na karę śmierci” myślał „i dopiero w kilka miesięcy po wykonaniu wyroku okaże się, że popełniono jeszcze jedną omyłkę sądową.

Oczywiście zostaną zrehabilitowany pośmiertnie, ale to już dla mnie słaba pociecha. Psiakrew"! .Tak tu wybrnąć z tej sytuacji? Uciekać? Ale jak i gdzie?"

Usnął około czwartej nad ranem, a obudził się już o siódmej. Postanowił zaraz wstać i pojechać do szpitala.

Drozdowski powitał go bardzo serdecznie, wstrzymując się dyskretnie od jakichkolwiek pytań. Zachowywał się tak, jakby absolutnie o niczym nie wiedział.

Mierzwiński docenił tę delikatność szefa, uważał jednak za swój obowiązek wyjaśnić sytuację i usprawiedliwić swoją nieobecność w szpitalu.

— Przykro mi, panie docencie, że nie było mnie przez dwa dni, pewne jednak okoliczności...

— Wiem, wiem — przerwał mu Drozdowski. — Był tu u mnie ktoś z milicji. Jest pan usprawiedliwiony, ale jeżeli już mówi pan na ten temat, to może trochę szczegółowiej o wszystkim...

Mierzwiński od początku opowiedział całą historię, usiłując dokładnie trzymać się faktów. Kiedy skończył, Drozdowski zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.

— No. no... Paskudna sprawa. I jest pan zupełnie pewien, panie kolego, że nie działał pan w stanie jakiegoś chwilowego zamroczenia?..

Mierzwiński zerwał się.

— Na miłość boską, panie docencie! I pan także?! Przecież zna mnie pan nie od dzisiaj. Nie upijam się. nie używam narkotyków, nie jestem szaleńcem... Nie cierpię na zaburzenia psychiczne. Zdaję sobie sprawę ze swoich czynów. Nie róbcież ze mnie umyślowo chorego!

Drozdowski zrozumiał, że popełnił poważny błąd, że nie powinien był tego powiedzieć. Był jednak chirurgiem, a nie neurologiem czy psychiatrą i nie zastanawiał się nad możliwością takiej reakcji.

— Niechże się pan uspokoi, panie kolego — powiedział zakłopotany. - - Nie twierdzą bynajmniej, że pan cierpi na jakieś zaburzenia psychiczne. Źle mnie pan zrozumiał. Przepraszam. Ale... Wszystko, co mi pan opowiedział, jest takie nieprawdopodobne, że...

Mierzwiński machnął ręką. Był zupełnie zrezygnowany.

— Nie mówmy już na len lemat; panie docencie. To nie ma sensu. Wolałbym teraz przez kilka dni nie operować, o to chciałem pana prosić.

— Ależ oczywiście — skwapliwie zgodził się Drozdowski. — To się sarno przez się rozumie. Jest pan zbyt wyczerpany nerwowo, żeby... Zastąpią pana koledzy, dopóki pan zupełnie nie przyjdzie do siebie. Na razie będzie pan ewentualnie asystował przy operacjach. Jutro proszę przyjść o zwykłej porze. I niech pan będzie dobrej myśli. Cała ta dziwna historia na pewno jakoś się wyjaśni.

Po wyjściu ze szpitala Mierzwiński poczuł się jak człowiek, który przed chwilą obudził się z narkotycznego snu. Szum w głowie, niemiły, metaliczny smak w ustach, wyschnięte gardło. Gwar ulicy docierał do niego dziwnie przytłumiony, jakby przez grubą ścianę. Nie uświadamiał sobie dokładnie, gdzie się znajduje i dokąd idzie. Ogarnęła go całkowita obojętność i gdyby mu teraz ktoś powiedział, że za chwilę umrze, nie zrobiłby absolutnie nic, żeby uniknąć śmierci.

Z wolna wracało poczucie rzeczywistości. Młody, silny organizm buntował się przeciwko melancholijnym nastrojom. Zresztą Mierzwiński był człowiekiem czynu i pograżanie się w apatii zupełnie nie leżało w jego usposobieniu. Coraz spokojniej zaczął zastanawiać się nad swym położeniem, które nie było zbyt wesołe. Wprawdzie milicja wypuściła go z aresztu, ale wyraźnie wyczuwał, że nie bardzo wierzą w jego niewinność. Na razie zwolniono go. Widocznie prokurator nie podpisał nakazu aresztowania, ale co będzie dalej? Jeżeli nawet Drozdowski nie wierzy/.'

I nagle ogarnęło go przerażenie „A może Drozdowski ma rację. Może rzeczywiście było to ' działanie zupełnie podświadome, wywołane jakimiś chwilowymi zaburzeniami psychicznymi? Nie, nie! Nic wolno dopuszczać do siebie takich myśli! Nie wolno! Przecież właśnie tego rodzaju wątpliwości mogą doprowadzić do szaleństwa. Energicznie potrzasnął głową i przyśpieszył kroku.

— Cześć, Andrzej. Dokąd łak pędzisz? Okrągła twarz Jurka Kalickiego tryskała radością życia. Mierzwiński z trudem powstrzymał odruch niechęci. Nie miał najmniejszej ochoty na rozmowę z kolekcjonerem kawałów.

— Idę do domu — powiedział niezbyt uprzejmie.

Kalicki zdawał się nie dostrzegać kwaśnego humoru przyjaciela.

— Do domu na piechotę? Taki kawał?

— Zdrowo jest się trochę przejść.

— Masz rację. Spaceruje świetnie robią na przemianę materii. Ale ty coś mizernie wyglądasz. Andrzej. Źle się czujesz?

— Czuję się doskonale — odburknął Mierzwiński.

— Nie widać tego. Zmizerniałeś. schudłeś. Może za słabo się odżywasz? A może masz znowu jakieś kłopoty sercowe? Przyznaj się.

Mierzwiński w pierwszej chwili chciał wszystko opowiedzieć Kalickiemu. W ostatniej chwili ugryzł się w język. Nagle przypomniał sobie, że przecież wtedy, owego feralnego dnia, jedli razem obiad i że rozmawiali na temat jego wieczornej randki. Nie wiedział wprawdzie, jaki to mogłoby mieć związek ze sprawą, ale wolał być przesadnie ostrożny. Dziwny również wydał mu się ten zbieg okoliczności, że dzisiaj znowu Kalicki zaczepił go na ulicy.

— Ostatnio jakoś często spotykamy się przypadkowo.

— A, rzeczywiście — roześmiał się grubas. — Parę dni temu zjedliśmy razem w „Kameralnej” zupełnie niezły obiad. Jakbyś się zapatrywał na to, żebyśmy poszli na Stare Miasto na pieczoną kaczkę, z czerwonym winem naturalnie. Mam parę świetnych kawałów. Opowiem ci. No co, idziemy?

Mierzwiński, był wprawdzie głodny, ale perspektywa wspólnego obiadu absolutnie go nie nęciła. Nie czuł się na siłach wysłuchiwać kawałów Jurka Kalickiego. W tej chwili ten tłusty, wiecznie roześmiany facet działał mu na nerwy. Chciał się go pozbyć jak najprędzej.

— Bardzo ci dziękuję za miłą propozycję, ale Jestem umówiony. Nie mam czasu. Kalicki pogroził mu grubym palcem.

— Oj, Andrzej. Andrzej, uważaj, te baby W końcu cię, zgubią. A więc nie chcesz iść ze mną na kaczkę. Trudno. Niemiła księdzu ofiara, pójdź, cielę, do obory. Cześć. Ja jadę tramwajem. Nie wygrałem nóg na loterii, żeby gnać piechotą taki szmat drogi. Trzymaj się.

Mierzwiński został sam. Odetchnął z prawdziwą ulgą. W tej chwili zdał sobie sprawę z tego, że Jurek od pewnego czasu działa mu na nerwy. Kiedyś bawił go, lubił jego towarzystwo. Teraz coś się zmieniło. „A może to ja się zmieniłem?” — pomyślał. Poczul się nagle zmęczony. Nie miał już ochoty iść piechotą do domu. Wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć na Mokotowską.

W bramie spotkał Downara.

— O, co za niespodzianka. Pan major może mnie szukał?

Downar uśmiechnął się.

— Właśnie postanowiłem pana znowu odwiedzić.

— Ogromnie mi miło. Proszę na górę, panie majorze. Żałuję, że mnie pan nie uprzedził. Byłbym się postarał o buteleczkę koniaku.

Po chwili znaleźli się w tym samym pokoju, w którym przed paroma dniami popełnione zostało morderstwo. Mierzwiński poszedł do kuchni, żeby postawić wodę na herbatę, Downar uważnie przyglądał się umeblowaniu. Szczególnie interesował się białą szafeczką z narzędziami chirurgicznymi. Próbował ją otworzyć. Była zamknięta na klucz.

Kiedy Mierzwiński ustawił na stoliku szklanki z herbatą, cukiernicę i kruche ciasteczka, Downar uśmiechnął się do niego życzliwie i powiedział;

— No i cóż, panie doktorze? Jak samopoczucie?

— Pod psem. A zresztą, jak się może czuć człowiek, którego czeka dożywotnie więzienie? W mojej sytuacji pan także nie byłby optymistą. Zdaję sobie przecież sprawę z tego, że wszyscy podejrzewają mnie o popełnienie tej zbrodni.

— Może nie wszyscy. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że pozostaje pan na wolności.

— Czego to dowodzi?

— Dowodzi to tego, że prokurator nie jest przekonany o pańskiej winie. Nie podpisał nakazu aresztowania.

— A pan? Czy podziela pan zdanie prokuratora ?

Downar przyjacielskim gestem poklepał młodego lekarza po ramieniu.

— Gdybym nie podzielał zdania prokuratora, to chyba nie przyszedłbym dzisiaj do pana na herbatkę, panie doktorze. A propos. Jakiej herbaty pan używa? Jest doskonała.

— Ceylon, W tych dużych opakowaniach po sześćdziesiąt dwa złote. Kiedyś w „Gongu” piłem świetną herbatę i dowiedziałem się od kelnerki, że właśnie Ceylon parzą. Przydałoby się trochę śmietanki. Niestety .nie mam. Nie spodziewałem się gości.

— I bez śmietanki herbatka wyśmienita. Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, panie doktorze, żebyśmy pogawędzili chwilę na przykre tematy?

Mierzwiński energicznie potrząsnął głową.

— Wprost przeciwnie. Przykre tematy niesłuchanie mnie interesują. Jestem niezmiernie ciekaw pańskiej nowej opinii w tej sprawie.

Downar podniósł szklankę i przez chwilę przyglądał się pod światło złocistemu płynowi.

— Piękny kolor — mruknął. — Naprawdę piękny. — Głośniej zaś dodał. — Morderca musiał być dokładnie poinformowany o pańskich prywatnych sprawach.

— Niewątpliwie.

— Te informacje mógł otrzymać albo od pana, albo od pani Łastowskiej. Nie widzę innych możliwości. A informacje te musiały być bardzo dokładne, powiedziałbym nawet, Ścisłe,

— Czy pan rzeczywiście wyklucza mnie jako sprawcę tej zbrodni? — spytał Mierzwiński.

— A pan? — odpowiedział pytaniem Downar.

Mierzwiński wzruszył ramionami.

— .Przyznam się, panie majorze, że już nic nie wiem, ale to absolutnie nic.

Dzisiaj mój szef, docent Drozdowski, wysunął hipotezę, że działałem w stanie ograniczonej świadomości. Im dłużej zastanawiam się nad tą sprawą, tym więcej rodzi się wątpliwości. Jak tak dalej pójdzie, to chyba oszaleję.

— Nie był pan wtedy pijany stwierdził stanowczo Downar..

— Absolutnie nie. Od dawna nie piłem alkoholu. A w ogóle pijam bardzo rzadko i bardzo mało. Nie używam żadnych narkotyków. Nie miewam urojeń, nikt nigdy nie stwierdził u mnie jakichś zaburzeń psychicznych. Przypuszczenie docenta Drozdowskiego jest absolutnie bezpodstawne. Ale wreszcie... Nic wiem, nic nie wiem. Daję panu słowo, panie majorze, że w końcu naprawdę zwariuję.

, — Niechże się pan uspokoi — uśmiechnął się Downar. — Nie trzeba podniecać się. nerwy należy trzymać na wodzy. Ja nie mam wątpliwości, że jest pan najzupełniej normalnym człowiekiem. Spróbujmy może raz jeszcze zrekonstruować sobie zdarzenia tamtego dnia. Więc rano pojechał pan do szpitala...

— Tak.

— Operował pan wtedy?

— Tak. Miałem ciężki, wyczerpujący dzień. Byłem zmęczony.

— Po wyjściu ze szpitala zapewne poszedł pan na obiad.

— Tak.

— Gdzie pan zjadł obiad?

— W „Kameralnej”.

— Sam?

— Nie. Poszedłem na obiad z moim przyjacielem.

— Jak się nazywa ten pański przyjaciel?

— Jerzy Kalicki.

— Czym się zajmuje?

— Zbiera kawały. Downar roześmiał się.

— Zbiera kawały. Dziwne hobby. Ale chyba z tego nie można żyć. Chciałbym wiedzieć, czym się zajmuje zawodowo pański przyjaciel?

— Właściwie dosyć trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Wiem, że prowadzi jakieś interesy, ale dokładnie nie orientuję się jakie.

— Czy dawno zna pan pana Kalickiego?

— O, bardzo dawno. Byliśmy razem na studiach, tylko on nie skończył.

— Czy on również studiował medycynę?

— Tak. Ale nie bardzo mu szło i na trzecim roku zrezygnował.

— Więc razem poszli panowie na obiad.

— Tak. Do „Kameralnej”.

— Czy podczas tego obiadu wspomniał pan przyjacielowi, że jest pan umówiony wieczorem?

— Tak. Ale nic powiedziałem, z kim.

— Czy pański przyjaciel zna panią Łastowską?

— Nie wiem. Możliwe. Kalicki ma bardzo dużo znajomych, lubi towarzystwo...

— Czy pan Kalicki widział pana kiedyś na mieście razem z panią Łastowską?

Mierzwiński bezradnym ruchem rozłożył ręce.

— Nie mam pojęcia. Mogło się zdarzyć, że nas gdzieś widział.

Downar pokiwał głową.

— Tak, oczywiście, mogło się zdarzyć. Chciałbym jeszcze zapytać, do jakich najczęściej kawiarni, teatrów, kin, restauracji chodził pan z panią Łastowską?

— Nie, nie. do restauracji raczej nic chodziliśmy. Nie zależało nam przecież na afiszowaniu się. Kilka razy byliśmy w kinie.

— I zapewne w kinie pan Kalicki mógł państwa widzieć.

— To prawdopodobne. Ale do czego pan zmierza, panie majorze?

— Szukam człowieka, który dobrze się orientował w pańskim prywatnym życiu.

— Sądzi pan, że Kalicki...?

— Nic nie sądzę. Mówię panu przecież, że szukam i w tych poszukiwaniach jest mi niezbędna pańska pomoc

Mierzwiński machnął ręką. Robił wrażenie człowieka całkowicie zniechęconego.

— Doceniam pański trud, panie majorze, ale to się na nic nie zda. Nic nie kombinujemy. Poza mną nie znajdzie pan kandydata na mordercę.

— A czy pan wie, panie doktorze, co pana może w końcu zgubić?

— Co takiego?

— Pański pesymizm.

— W mojej sytuacji nie widzę powodu do optymizmu.

— W żadnej sytuacji nic wolno tracić nadziei. Zawsze należy wierzyć, że wszystko dobrze się skończy.

Mierzwiński uśmiechnął się melancholijnie.

— To się tak łatwo mówi.

Downar wskazał palcem na szafkę wiszącą na ścianie.

— Czy pan zawsze zamyka na klucz szafkę z narzędziami?

— Nie. nie zawsze, ale od tamtego wieczoru...

— Czy prowadzi pan prywatną praktykę?

— Raczej nie. Czasami zdarzy się jakiś nagły wypadek, Dlatego muszę mieć pod ręką narzędzia chirurgiczne. W zeszłym tygodniu na przykład przecinałem wrzód sąsiadowi. Kiedyś znowu przyleciał do mnie z płaczem chłopak, prosząc, żeby mu wyjąć paskudną drzazgę. Takie tam różne drobiazgi. Ale zasadniczo nie przyjmuję pacjentów prywatnie. Nie mam na to ani czasu, ani warunków lokalowych.

Downar wstał i uważnie przyjrzał się narzędziom chirurgicznym, ułożonym porządnie w białej szafeczce.

— Niech mi pan powie, panie doktorze, czy oprócz tego lancetu, którym zostało popełnione morderstwo, nie zginął panu jeszcze jakiś nóż chirurgiczny?

, — Wprost przeciwnie.

— Co to znaczy „wprost przeciwnie”? Mierzwiński nerwowym ruchem przeciągnął dłonią po włosach.

— Niech pan sobie wyobrazi, że mam komplet, nic mi nie brakuje.

— Jak to?

No tak. I ten długi lancet także mam w szafce.

— Czy pan jest pewien, że pan nie miał dwóch takich lancetów dwudziestocentymetrowych?

— Nie, na pewno nie miałem dwóch. Jestem. pewien. Właściwie dopiero dzisiaj zauważyłem, że...

— Znaczyłyby to, że nie pańskim lancetem popełniono morderstwo — powiedział Downar i zamyślił się.

ROZDZIAŁ V

Downar mówił prawdę, że atmosfera cmentarza nastraja go zawsze filozoficznie i pobudza do myślenia. Wśród grobów pokrytych śniegiem, i gnijącymi liśćmi raz jeszcze dokładnie przeanalizował sprawę Mierzwińskiego. W wyniku tych rozważań doszedł do pewnych, oczywiście hipotetycznych jeszcze wniosków, dla których należało teraz znaleźć solidną podstawę opartą na faktach. Nie było to rzeczą, prostą, ale Downar nie tracił wiary w swoje siły i... w szczęśliwy przypadek.

Późna wiosna prószyła drobnym śniegiem. Lodowaty, północny wiatr uderzał w zmarznięte twarze białymi płatkami, osiadającymi na policzkach, nosach, okularach. Ten i ów próbował otworzyć parasol, ale nie na wiele się to zdało. Potężne podmuchy wyginały na drugą stronę metalowo pręty, szarpały bez litości słabym materiałem. Ludzie zebrani nad świeżo wykopanym grobem niecierpliwie oczekiwali końca ceremonii.

Ksiądz pracowicie recytował modlitwy za zmarłych. Wreszcie umilkł i zaczął szykować się do odejścia. Kościelny odsapnął z prawdziwą ulgą. Szczęknięty łopaty grabarzy.

Oskar Łastowski powiększył grono stałych mieszkańców cmentarza. Krewni, przyjaciele, znajomi, którzy tak niedawno szli w zwartym szyku za trumną, teraz w rozsypce śpieszyli ku bramie, podobni do żołnierzy uciekających po przegranej bitwie.

Downar stał na uboczu i z zainteresowaniem obserwował żałobny orszak. Powoli przenosił spojrzenie z jednej osoby na drugą, tak jakby chciał zapamiętać wszystkich uczestników pogrzebu. Najwięcej uwagi poświęcił jednak żonie zmarłego. Wydała mu się, że wśród tych wszystkich ludzi pani Łastowska jest dziwnie samotna. Nikt się do niej nie zbliżył. Nikt nie okazał współczucia należnego wdowie. To było lask widoczne, że wyglądało na bojkot.

W drodze powrotnej ku cmentarnym bramom także szła sama. „Co, u diabła?” myślał Downar. „Czyżby ją podejrzewali o udział w lej zbrodni?”

Na ulicy jedni biegli do przystanku tramwajowego, drudzy pośpiesznie wsiadali do swoich samochodów. Byli i tacy optymiści, którzy usiłowali znaleźć wolną taksówkę. Silny wiatr dawał się wszystkim we znaki, a ze śniegiem zmieszały się teraz ostre, kłujące krople deszczu.

Pani Łastowska zaraz za bramą skręciła w lewo i wsiadła do ciemno wiśniowego wozu. Na szczęście służbowa warszawa stała niedaleko. Downar w kilku skokach dopadł wozu i rzucił kierowcy:

— Za czerwonym mercedesem. Szybko!

— Sie robi — powiedział Sikora i włączył bieg.

Jechali przez szare, mokre ulice. Jezdnie były śliskie i niebezpieczne. Posępny wygląd miasta był tak sugestywny, iż można było zwątpić w słońce, w błękitne niebo i pogodne dnie.

— Ale wiosna, psia mać — zaklął Sikora. — Tak mnie połamało, że ledwie siedzę za kierownicą. Już chyba z tego słoneczka tego roku nic nie będzie.

— Uważajcie, żeby ich nie zgubić — upomniał go Downar.

— Nie ma strachu.

— Nie widzicie, kto siedzi za kierownicą? Mężczyzna? Kobieta?

— Chyba facet, ale diabli wiedzą. Teraz babki od faceta trudno odróżnić z bliska, a co dopiero w wozie i na taką szarugę.

— Ale dwie osoby jadą?

— Na pewno dwie. Żebym był wiedział, to byłbym się lepiej przyjrzał temu mercedesowi, ale nie wiedziałem, że to o niego chodzi.

— Ja takie nie wiedziałem — mruknął Downar. Był zły, że tak późno przyjechał na cmentarz i że nie przypilnował Łastowskiej. Tego jeszcze brakowało, żeby mu teraz zwiłała.

Jadąc w ślad za czerwonym mercedesem, minęli Dworzec Gdański, potem plac Dzierżyńskiego. Ogród Saski i Świętokrzyską wydostali się na Nowy Świat. Tu jezdnia była tak zatłoczona, że z trudnością lawirowali wśród tłumu samochodów. Skora był mistrzem w swoim zawodzie, ale i on musiał wyteńczyć całą swą umiejętność, żeby nie stracić z oczu ściganych. Najniebezpieczniejsze były światła, które w każdej chwili mogły ich rozdzielić.

— Nie widzicie numeru rejestracyjnego? — spytał Downar.

— Nie, towarzyszu majorze. Taka cholerna szaruga, że ni czorta nie widzę. Plac Trzech Krzyży, Aleje Ujazdowskie. Bagatela, Puławska. Teraz sytuacja była łatwiejsza. Należało tylko uważać, żeby tamci nie zorientowali się, że są śledzeni.

— Jedźcie wolniej — powiedział Downar — i tak nam nie uciekną.

Zaraz za skocznią mercedes skręcił w lewo. Ulica Obserwatorów.

— Co robimy, towarzyszu majorze? — spytał Sikora, naciskając hamulec. — Jak tu za nimi pojedziemy, to mogą się skapować. Uliczka mała...

Downar zawahał się.

— Jeżeli jechaliby na Flisaków, to raczej Belwederską i Sobieskiego. Przypuszczam, że zatrzymają się gdzieś niedaleko stąd. Wiecie co? Zaryzykujemy. Wsiądźcie z wozu i idźcie za nimi. Ja tutaj na was zaczekam. Chodzi mi tylko o numer rejestracyjny tego mercedesa i o numer domu. Na razie to wszystko, co chciałbym wiedzieć.

Sikora oddalił się szybkim krokiem. Downar rozsiadł się wygodniej i czekał. Nagle poczuł ogromną ochotę, żeby zapalić. Tylko jeden papieros. Kiosk był blisko. Wystarczyło kawałek podjechać. Ale nie... Przecież już się odzwyczaił od palenia. Byłby skończonym kretyńcem, żeby zacząć na nowo. Czuł, że ten jeden papieros mógłby go zgubić i cały wysiłek na nic. Nie pojechał do kiosku. Przełknął ślinę. Czekał.

Mniej więcej po upływie pół godziny wrócił Sikora, trzymając w ręku kartkę wydartą z notesu.

— W porządku, towarzyszu majorze — powiedział trochę zdyszczanym głosem,

— Mam adres i numer rejestracyjny wozu.

— Zagarażowali tutaj wóz?

— Tak, niedaleko. Będzie jakie trzysta ,czterysta metrów. Ładny domek, w ogródku. Porządny garaż. Lepiej, żeśmy za nimi nie jechali, bo faktycznie mogli byli się kapnąć.

— Widzieliście ich?

— Jasne. Najprzód stali przy wozie i rozmawiali. Potem widziałem, jak się całowali w garażu.

— To znaczy, że mężczyzna prowadził wóz.

— Chłop jak tur.

— Młody?

— Młody. Na moje oko będzie miał ze dwadzieścia kilka lat.

Downar poweselał.

— No, dobrze... Dziękuję wam za pomoc. Wracamy.

— Do komendy?

— Do komendy.

*

Nazajutrz z samego rana sierżant Pakuła dostarczył trochę informacji. Nazwisko: Zahorecki Roman, lat dwadzieścia siedem. Nigdzie nie pracuje. Nie wiadomo, z czego żyje. Sam zajmuje cały domek jednorodzinny, Łastowska spędziła u niego noc. Wyszła parę minut po godzinie siódmej. Wróciła do domu taksówką.

Po krótkim namyśle Downar pojechał na ulicę Obserwatorów. Doszedł do wniosku, że trzeba działać szybko i przez zaskoczenie. Za piętnaście dziesiąta dzwonił do jednorodzinnego domku.

Na razie odpowiedziała mu głucha cisza. Nikt się nie poruszył za drzwiami.

Mogło się здаwać, że dom jest pusty. Downar jednak nie dawał za wygraną, rozumując logicznie, że młody człowiek, który nigdzie nie pracuje i który pozbył się kochanki o siódmej z minutami, niewątpliwie teraz zażywa zasłużonego wypoczynku. Nie przestawał więc naciskać dzwonka i walić pięścią w drzwi.

„Widocznie rzeczywiście nie ma go w domu” myślał zdziwiony, gdy wszystkie te zabiegi nie odnosiły pożądanego skutku. I już miał zrezygnować z dalszych prób i ruszyć w powrotną drogę, kiedy nagle tuż koło siebie postyszał groźne słowa:

— A pan tu właściwie czego? Downar trochę się zmieszał. Zażywna, schludnie ubrana jejmość patrzyła na niego agresywnie, wymachując pękiem kluczy.

— Czego pan tu szuka, panie szanowny?

— Ja do pana Zahoreckiego — powiedział skromnie Downar, nie chcąc się narażać energicznej klucznicy. — Mam do niego pilny interes.

— O tej porze?

— Rzeczywiście jest trochę wcześniej — zgodził się Downar, spoglądając na zegarek. — Ale tak się złożyło, że... Czy pani może także tu mieszka?

— Ja tu nie mieszkam. Ja się opiekuję panem Zahoreckim. Prowadzę mu gospodarstwo. — Wsunęła klucz w zamek. — Niech pan chwilę zaczeka. Pójdę zobaczyć, czy już wstał.

Weszła do mieszkania, u Downar w dalszym ciągu stał pod drzwiami. Bawiła go ta sytuacja. Mógł oczywiście wezwać do komendy tego młodzieńca, ale zawsze wolał widzieć człowieka na tle domowników. Poza tym moment zaskoczenia także miał dużo znaczenie.

Po paru minutach znowu zobaczył przed sobą gosposię Zahoreckiego.

— Śpi nieboraczek — powiedziała z czułością w głosie. — Nie można go budzić.

Downar postanowił przystąpić do energiczniejszej akcji. Pchnął drzwi, wszedł do holu i wyjął z kieszeni legitymację.

— Milicja. Proszę powiedzieć panu Zahoreckiemu, że major Downar chce z nim mówić.

Zniknęła. Po chwili na wewnętrznych schodach, prowadzących na pierwsze piętro pojawił się wyrwany z porannego snu „nieboraczek”. Wysoki, świetnie zbudowany przypominał filmowego Tarzana, w wykonaniu Weissmiillera. Bujna, zmierzwiona w tej chwili czupryna nadawała mu wyraz jakiegoś pierwotnego mieszkańca puszczy, a ciemne, błyszczące oczy, osadzone blisko nosa potęgowały to wrażenie. Miał na sobie długi czerwony szlafrok w czarne pasy, w którym wydawał się jeszcze wyższy.

— Pan do mnie? — powiedział niskim, lekko zachrypniętym głosem i nie czekając na odpowiedź dodał: — Sprawa tej kraksy pod Sochaczewem już dawno została wyjaśniona. Nie wiem...

— Mnie nie chodzi o kraksę pod Sochaczewem — przerwał mu Downar.

— A o co chodzi? — Ton tych słów był agresywny, nieomal arogancki.

Downar uważnie przyjrzał się młodemu człowiekowi, który pod wpływem tego spojrzenia jakby trochę stracił pewność siebie.

— Chciałbym pana prosić o chwilę rozmowy. Przepraszam, że przychodzę tak nie zapowiedziany, ale to sprawa ważna.

— To ja pana przepraszam za mój poranny strój — powiedział Zahorecki, przeczesując palcami czuprynę i obciągając szlafrok. — Pozwoli pan, że skoczę na górę i ubiorę się. Potem panu chętnie służę.

Downar powstrzymał go ruchem ręki.

— Nie, nie, to zbyteczne. Nic zabiorę panu dużo czasu. Gdzie możemy spokojnie porozmawiać?

Zahorecki wskazał drzwi.

— Proszę.

Weszli do dużego pokoju, w którym było dużo książek ustawionych równiutko na półkach. Poza tym biurko, fotele, kanapa, duży dywan. Na ścianach stare portrety i jelenie rogi.

Młody człowiek odzyskał już pewność siebie. Próbował się nawet uśmiechnąć. Z szuflady biurka wyjął duże, drewniane pudełko z papierosami i poczęstował swego gościa.

Downar potrząsnął głową.

— Dziękuję, nie palę.

— To może kieliszek czegoś albo filiżankę kawy?

— Dziękuję. Niech pan sobie nie robi kłopotu.
Zahorecki usiadł w fotelu, założył nogę na nogę i strzepnął ze szlafroka nie istniejący pył.

— Czym mogę panu służyć, panie majorze?
— Chciałbym panu zadać kilka pytań.
— A ja chciałbym panu zadać tylko jedno pytanie.
Downar podniósł brwi do góry.
— Słucham. Jakież to pytanie?
— Czy pańskie odwiedziny mają charakter prywatny, czy też urzędowy.
Downar uśmiechnął się. Zaczynał się coraz lepiej bawić.

— Prywatnie na ogół nie odwiedzam znajomych o tak wczesnej porze. Może więc pan traktować moją wizytę jako urzędową. Zastanawiałem się nad tym, czy nie zaprosić pana do nas do komendy. Doszedłem jednak do wniosku, że tutaj nasza rozmowa będzie miała charakter mniej oficjalny. Przyznam się panu szczerze, że bardzo nie lubię oficjalnych rozmów.
Zahorecki z natężoną uwagą wpatrywał się w mówiącego, jakby usiłując odgadnąć, co się naprawdę kryje za tymi słowami. Pod zmarszczonymi brwiami płonęły ciekawością okrągło, małpie oczy. I nie tylko ciekawość była w tych oczach, była także i czujność.

— Jestem panu wdzięczny, panie majorze, że oszczędził mi pan wizyty w komendzie milicji. Ja również nie przepadam za rozmowami w urzędowych miejscach. Słucham pana?
— Na wstępie chciałbym zaznaczyć, że nie jest pan obowiązany odpowiadać na moje pytania powiedział z poważną miną Downar. — Ale sądzę, że szczerą rozmowa ułatwi nam obu sytuację. Przecież ani mnie, ani panu nie zależy na jakichś niepotrzebnych komplikacjach.
— Nie mam absolutnie nic do ukrywania — zapewnił Zahorecki.
— To świetnie — ucieszył się Downar.— Najgorzej mieć do czynienia z ludźmi, którzy za wszelką cenę usiłują ukryć prawdę. Czy pozwoli pan, że zadam panu kilka pytań dotyczących pańskiej osoby?
Zahorecki niechętnie wzruszył ramionami.
— Przyznam się, że nie mam pojęcia, o co panu chodzi, ale proszę, niech pan pyta.
— Czy pan sam mieszka w tym domu?
— Sam.
— Nie ma pan żadnej rodziny?
— Mam tylko matkę, która mieszka stale w Londynie. Wyszła tam powtórnie za mąż za Anglika.
— Czym się pan zajmuje?
— Niczym.
— No... coś pan przecież musi robić?
— Nie robię nic specjalnie ciekawego. Jem, śpię, jeżdżę wozem, chodzę do kina, do teatru, sypiam z dziewczętami, czasem gram w brydża.

— Nigdzie pan nie pracuje?

— Nie. Bardzo nie lubię pracować. Zresztą praca to przekleństwo ludzkości. Pan Bóg, wypędzając Adama z raju, powiedział: „W pocie czoła chleb swój zdobywać będziesz”. To była największa kara, jaką można było obmyśleć. Ja staram się unikać tej kary. Na całe szczęście w naszej kochanej ojczyźnie jeszcze nie ma przymusu pracy.

— Czy można spytać, z czego pan się utrzymuje?

— O, to zupełnie prosta sprawa. Mamusia przysłała mi dolary na PKO. Ja mam niewielkie wymagania życiowe. Wystarcza mi to w zupełności. A jeżeli przypadkiem zabraknie mi gotówki, to zagram sobie w brydżyka. Jakoś tak się zawsze składa, że wygrywam. Podobno nieźle gram. Jeżeli pan miałby ochotę, to chętnie zorganizuję partyjkę...

— A tego czerwonego mercedesa także dostał pan od mamusi?

Zahorecki roześmiał się.

— O, widzę, że już się pan zdążył zainteresować moim wozem. Tak, to prezent imieninowy od mamusi. Podoba się panu mój mercedesik?

— Bardzo ładny wóz.

— Początkowo był taki jasnobeżowy, ale kazałem go przemaalować. Wolę czerwony. Wydaje mi się, że jakoś lepiej wygląda. Poza tym to bardziej demokratyczny kolor.

Drwiąco żartobliwy ton młodego człowieka bawił Downara. Wyczuwał, że tą kpiarską pozą. Zahorecki pragnie pokryć niepokój, który go w gruncie rzeczy nurtował. Taktyka ta była, aż nazbyt prosta.

— A czy pan wie, gdzie miałem okazję przyjrzeć się dokładnie pańskiemu mercedesowi?

— Nie mam pojęcia.

— Wczoraj na Powązkach.

— Al... — Ton, jakim została wypowiedziana ta jedna samogłoska, wyrażał zarówno zdziwienie, zaskoczenie, jak i nawet strach.

— Tak, wczoraj obejrzałem sobie pański wóz, podczas gdy pan czekał w pobliżu czwartej bramy na panią Łastowską — powiedział Downar.

Zahorecki spochmurniał. Mięśnie jego twarzy skurczyły się pod wpływem nagłego gniewu.

— Śledził mnie pan!

— Nie, skądże. To zupełnie przypadkowo. Po prostu byłem na pogrzebie pana Łastowskiego i wracając... A propos... Co pan myśli o tej sprawie?

— O jakiej sprawie?

— No... o zamordowaniu pana Łastowskiego.

— A cóż ja mogę myśleć? Nic, absolutnie nic.

— Musiał pan przecież rozmawiać na ten temat z panią Łastowską.

Zahorecki usiłował uśmiechnąć się beztrzesko.

— Staram się nie rozmawiać o przykrych sprawach z pięknymi kobietami. Czy nie sądzi pan, że to jest słuszne, panie majorze?

Downar nie odpowiedział. W zamyśleniu skierował spojrzenie ku oknu i dopiero po chwili spytał:

— Od jak dawna jest pan przyjacielem pani Łastowskiej?

Zahorecki zachnął się.

— Czy nie wydaje się panu, że pańska ciekawość przekracza granice przyzwoitości?

— Przepraszam. Nie wiedziałem, że to tajemnica.

— Tajemnica czy nie tajemnica, ale panu nie do lego — mówił dalej Zahorecki podniesionym głosem. — Co to w ogóle wszystko znaczy? Czego pan, u diabła chce ode mnie?

— Ja prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa dokonanego na osobie Oskara Łastowskiego — powiedział z naciskiem Downar.

— A cóż mnie to obchodzi, w jakiej sprawie pan prowadzi śledztwo?! Nie przypuszcza pan chyba, że to ja zabiłem tego faceta.

Downar utkwiał wzrok w czarnych oczach młodego człowieka.

— Zupełnie niepotrzebnie pan się denerwuje. Przecież uzgodniliśmy, że to ma być .szczera, przyjacielska rozmowa. Sam pan stwierdził, że nie ma pan nic do ukrywania, więc nie rozumiem pańskiego podniecenia. Nie można tak łatwo wyprowadzić z równowagi człowieka, który ma zupełnie czyste sumienie. Zahorecki umilkł. Słysząc było tylko jego przyśpieszony oddech. Kiedy się znowu odezwał, w cichym, pozornie spokojnym głosie nie czuło się podniecenia.

— Nie może się pan dziwić, panie majorze, że trochę się zdenerwowałem. Te pańskie pytania...

— Wcale się nie dziwię — uśmiechnął się dobrotliwie Downar. — Rozumiem to doskonale. Jest pan młodym, niedoświadczonym . nieopanowanym człowiekiem... Proszę jednak wczuć się trochę w moje położenie. Został zamordowany Oskar Łastowski. Mnie powierzono dochodzenie w tej sprawie. Jakie są pierwsze czynności w takiej sytuacji? Jak się panu zdaje?

— Nie wiem. Nie jestem fachowcem w tej branży.

Tu nic trzeba być fachowcem. Wystarczy logicznie myśleć. Przede wszystkim muszę się zapoznać ze środowiskiem zamordowanego. Na pierwszy plan wysuwają się oczywiście jego żona, a ponieważ tak się przypadkowo złożyło, że jest pan przyjacielem pani Łastowskiej... rozumie pan chyba teraz, że moja rozmowa z panem nie jest bezpodstawna. Mógłby pan mieć bardzo kiepskie wyobrażenie o mnie, gdybym tej rozmowy nie przeprowadził.

— Podejrzewa mnie pan o popełnienie tej zbrodni?!

— Na razie nikogo o nic nie podejrzewam. Jestem w trakcie zbierania informacji. Ale, ale... przy okazji, tak tylko dla porządku, może mi pan powie, co pan robił wieczorem trzeciego kwietnia?

— Trzeciego kwietnia? Wieczorem?

— No tak. To był piątek. Właśnie w ten piątek został zamordowany Oskar Łastowski.

— Chce pan, żebym przedstawił swoje alibi?

— Bardzo bym się cieszył.

— Więc jednak minie pan podejrzewa.

— Nic podobnego. Chciałbym tylko wiedzieć, co pan robił w tamten piątek?

— Nie mam pojęcia. Nie pamiętam, co robiłem wczoraj wieczorem, a cóż dopiero trzeciego kwietnia.

— Może jednak postarałby się pan przypomnieć sobie...

Zahorecki potarł dłonią czoło.

— Zaraz, zaraz... Czy to nie były imieniny Ryśka Borkowskiego?

Downar wyjął z kieszeni kalendarz.

— Zgadza się. Trzeciego kwietnia Ryszarda.

— No to znaczy się, że byłem u Ryśka — ucieszył się Zahorecki. — Ale wpadłem do niego tylko na godzinkę i zaraz pojechałem do domu. Źle się czułem. Poprzedniego dnia popiliśmy trochę u Irki Grabowskiej i miałem cholernego kaca.

O której pan wrócił z tych imienin do domu?

— Było chyba około szóstej.

— A potem?

Potem położyłem się spać.

— I spał pan do rana?

— Jasne.

— Czy nikt do pana w tym czasie nie telefonował?

— Może i telefonował. Nie wiem. Wyłączyłem aparat, żeby mnie nikt nie budził.

— Hm — Downar poskrobał się za uchem. Niech mi pan jeszcze łaskawie powie, czy pan kończył jakieś studia?

— Różne studia zaczynałem, ale nic nie skończyłem. Nie mam cierpliwości.

— A co pan studiował?

- Najpierw byłem na politechnice, potem na medycynie, wreszcie zapisałem się na ekonomię. Jakby to wszystko trochę krócej trwało, to może bym i skończył, ale tyle lat jedno i to samo... Nudzę się. A zresztą to wszystko jedno przecież, czy się mu dyplom, czy się nie ma.

— A na medycynie długo pan był?

— Dwa lata. Dlaczego pana to interesuje?

— Nie. nic. Po prostu zapytałem. Ja także chciałem zostać lekarzem.

— I został pan milicjantem.

— Różnie się w życiu układa. Niech mi pan powie zupełnie szczerze, kto pańskim zdaniem zabił Łastowskiego?

— Nie wiem. Mogę pana tylko zapewnić, że nie ja. A szczerze mówiąc zmęczony już jestem tą rozmową. Nic nie wiem o tej sprawie i niczego się pan ode mnie nie dowie.

— Bardzo żałuję — powiedział Downar i podniósł się z fotela. Zahorecki bez słowa odprowadził go do drzwi.

ROZDZIAŁ VI

Walczak wrócił z Gdańska. Po odbytej rozmowie z szefem, któremu zdawał relację ze swej podróży służbowej, natychmiast skontaktował się z Downarem, — W żaden sposób nie mogę iść z tobą w piątek na koncert — powiedział pośpiesznie Downar, posłyszawszy w słuchawce głos przyjaciela.

Walczak roześmiał się.

'— Nic bój się. Nie mam zamiaru namawiać cię na koncert. Chciałbym tylko z tobą pogadać.

— Z przyjemnością. Wpadnij do mnie. Po chwili siedzieli obaj w pokoju Downara, popijając herbatę z cytryną. Walczak napomknął wprawdzie coś o winiaku, ale Downar stanowczo się temu sprzeciwił:

— Chwilowo skończyłem z alkoholem. Przynajmniej przez miesiąc ani kropelki. Walczak ze zdziwieniem pokręcił głową.

— No, no... nic poznaję cię, Stefan. Nie palisz, nie pijesz... A jak tam względem tego co i owszem?

— Chroniczny brak okazji — uśmiechnął się melancholijnie Downar. — Nie mam czasu. A poza tym z biegiem lat człowiek coraz bardziej grymasi. To nie są takie proste sprawy.

— Powinieneś się wreszcie ożenić.

— Tak mi źle życzysz? Dopiero wtedy skomplikowałbym sobie życie. Nie, nie. Za długo pracuję w milicji i za dużo już widziałem małżeństw, żeby dać się nabrać na ten numer.

Walczak machnął ręką.

— Niepoprawny z ciebie stary kawaler. No..-, ale mniejsza z tym. Powiedz mi, jak tam z naszym chirurgiem?

— Niech cię diabli wezmą — zaklął Downar. — Aleś mnie wrobił.

— Nieciekawa sprawa? — spytał z głupia frant Walczak.

— Wprost przeciwnie, za bardzo ciekawa. Do tej pory w ogóle nie mogę jej ugryźć. Szlag mnie trafia.

— Widzę, Stefan, że nie jesteś w najlepszym humorze — uśmiechnął się Walczak.

— Na moim miejscu nikt by nie był w dobrym humorze. Zawsze musisz wpakować mnie w jakąś kabałę.

— Nie zawsze, tylko czasami. No... przestań się ciskać i opowiedz mi, jak wygląda ta historia.

Downar umiał krótko i treściwie referować. Po upływie pół godziny Walczak dosyć dokładnie był wprowadzony w sprawę zabójstwa Oskara Łastowskiego.

— I ty się skarżysz, że ci podsunąłem taką ciekawą sprawę — powiedział z wyrzutem w głosie Walczak. — Powinieneś być mi wdzięczny do grobowej deski. Ale żarty na bok. Wychodzimy więc z założenia, że Mierzwiński odpada jako zabójca.

— Ja go nie biorę pod uwagę.

— I chyba masz rację — zgodził się Walczak. — Cios w plecy całkowicie wyklucza zabójstwo w afekcie, a zbrodni z premedytacją nikt nie dokonuje we własnym mieszkaniu.

— Takiego właśnie jestem zdania.

— Bez trudu się domyśliłem — uśmiechnął się Walczak. — Ale komu mogło zależeć na śmierci Łastowskiego?

— Najbardziej chyba jego żonie. Zabijając męża w mieszkaniu Mierzwińskiego, Łastowska za jednym zamachem załatwiła dwie sprawy: zdobywała spadek po tym amerykańskim stryjaszku i jednocześnie pozbywała się niewygodnego, natrętnego kochanka, który nie miał ochoty rezygnować z romansu nawiązanego w Zakopanem. Gdyby ona jednak była inicjatorką tej zbrodni, to chyba jakoś inaczej wyreżyserowałyby pierwszą rozmowę ze mną.

— Zgadzam się z tobą — przytaknął Walczak. — Jeżeli oczywiście wykluczemy, że pani Łastowska jest osobą niezwykle przebiegłą.

Downar był trochę zaskoczony tymi słowami.

— No cóż... Takiej ewentualności nie możemy, rzecz jasna, całkowicie eliminować. Ale przyznam ci się, że Łastowska nie robi na mnie wrażenia aż tak inteligentnej i wyrafinowanej.

— Znasz ją bardzo mało, a kobiety umieją się świetnie maskować. A jak oceniasz tego jej amanta?

— Zahorecki? Chyba trochę za głupi na taką robotę i nie jestem pewien, czy by mu wystarczyło odwagi, ale to nic nie wiadomo. Chłopak silny i studiował medycynę. Umie więc posługiwać się lancetem. Do licha!... Przecież i ten kumpel Mierzwińskiego także był na medycynie.

— Rozmawiałeś z nim?

— Jeszcze nie. Nie zdążyłem.

— Zbrodni musiał dokonać kłós, kio doskonale orientował się w sytuacji — powiedział Walczak.

— Oczywiście. Minuty były wyliczone. Walczak wyciągnął rękę w kierunku teczek z aktami. — Pokaż no mi jeszcze ten anonim, który otrzymał Łastowski.

— To musiała pisać kobieta — powiedział Downar, wyjmując maszynopis.

— Tak sądzisz?

— Jestem prawie pewien, Przeczytaj uważnie: „Doktor Mierzwiński mieszka na ulicy Mokotowskiej, niedaleko placu Trzech Krzyży, w tym nowym bloku, zaraz za sklepem monopolowym i restauracją. Dokładnego numeru niestety nie pamiętam”. Czy to nie charakterystyczne?

Walczak roześmiał się.

— Może masz rację. Kobiety często tak właśnie podają adresy. Ale również nie możemy wykluczyć, że anonim pisał mężczyzna. Czy u Łastowskich jest maszyna do pisania?

— Jest. Sprawdziłem. Nie pasuje.

— No tak — pokiwał głową Walczak. — Ale kto wiedział o spotkaniu Łastowskiej z Mierzwińskim w „Wilanowskiej”?

— Z tego, co mówi Mierzwiński, to tylko jego kolega, Kalicki, wiedział o wieczornej randce, ale nie był zorientowany, z kim ma się spotkać Mierzwiński.

—Kto zaproponował to spotkanie?

— Łastowska. Zadzwoiła do szpitala.

— Czy nie jest rzeczą możliwą, że ktoś podsłuchiwał tę rozmowę?

Nagle Downar uderzył się dłonią w czoło.

— Do licha!

— Co się stało? — zaniepokoił się Walczak. — Czyżby jakaś genialna myśl olśniła cię?

— Słuchaj, Karol, w tej chwili przypominałem sobie.

— Co?

— Że w mieszkaniu Łastowskich są dwa aparaty telefoniczne. -

— To interesujące.

— Nawet bardzo. Jeżeli Łastowska dzwoniła z domu do Mierzwińskiego...

— To z drugiego aparatu mógł ktoś podsłuchać jej rozmowę — dokończył Walczak. — Trzeba sprawdzić, czy wtedy nie było kogoś w mieszkaniu Łastowskich.

Downar był bardzo podekscytowany.

— Do diabła, że też ja wcześniej o tym nie pomyślałem. Idiota.

— Zdarza się — powiedział z uśmiechem Walczak. — Nie przejmuj się, Stefan. Tego samego dnia po południu Downar odwiedził panią Łastowską. Przyjęła go bardzo uprzejmie, nie ukrywała jednak pewnego zdziwienia.

— Szkoda, że mnie pan nie uprzedził o swojej wizycie, panie majorze. Mogło mnie nie być w domu.

— Ma pani rację. Powinienem być zadzwonić, ale nie byłem pewny, czy zdążę dzisiaj wszystko pozłatwić. Jeżeli to pani nie na rękę, to przyjdę innego dnia. Pani Łastowska zapewniła, że nigdzie się nie śpieszy i zaprosiła swego gościa do saloniku.

— Domyślam się, że pan jeszcze w sprawie tej strasznej zbrodni.

Downar skinął głową.

— Tak. Śledztwo jest w toku i usiłuję zebrać jak najwięcej materiału informacyjnego.

Przyjrzała mu się bardzo uważnie. Miał wrażenie, że ujrzał w jej oczach błysk niepokoju.

— Czy podejrzewa pan doktora Mierzwińskiego, panie majorze?

—Bardzo żałuję, ale nie mogę nic powiedzieć.

— Wiem, że rozmawiał pan także z Zahoreckim.

— Tak. Złożyłem mu wizytę.

— Chyba pan nie przypuszcza, że ten chłopak ma coś wspólnego z tą sprawą.

— Interesuję się każdym, kto może mieć ewentualnie coś wspólnego ze sprawą zabójstwa pani męża.

— Napije się pan kawy? — spytała.

Downar wykonał przeczący ruch ręką.

— Dziękuję, ale niedawno piłem. Za duża dawka kofeiny jest szkodliwa.

— Widzę, że dba pan o zdrowie.

— Staram się w miarę możliwości. Ale wróćmy do naszej sprawy. Chciałbym, żeby pani opowiedziała mi bardzo szczegółowo o wszystkim, co pani robiła przez cały piątek trzeciego kwietnia.

— Co pana interesuje?

— Wszystko. Może pani spróbuje podać mi kolejno następujące po sobie fakty, poczynawszy od samego rana.

Odchrząknęła, jakby przygotowując się do dłuższego przemówienia.

— No więc tak... Rano wstałam, wzięłam kąpiel, ubrałam się, zjadłam śniadanie. Tak jak każdego dnia.

— Czy śniadanie jadła pani razem z mężem? — spytał Downar.

— Nie. Mąż zjadł wcześniej śniadanie i wyszedł.

— Kiedy mąż pani wrócił do Warszawy z zagranicy?

— Poprzedniego dnia. czyli w czwartek drugiego kwietnia.

— Rano czy wieczorem?

— Późnym popołudniem.

— Czy długo męża nie było w kraju?

— Chyba przeszło dwa miesiące. Dokładnie nie pamiętam.

— Mniejsza o to. Wróćmy do tego piątku. Więc mąż pani wyszedł z domu, zanim pani siadła do śniadania?

— Tak.

— Czy powiedział, dokąd idzie?

— Nie.

— Czy miał wrócić od domu na obiad?

— Nie. Obiad miał zjeść na mieście. Przypuszczam, że z kimś się umówił.

— Nie wie pani, z kim?

— Nie.

— Czy państwo mają gosposię?

— Przychodnią. Trzy razy w tygodniu.

— W które dni przychodzi?

— We wtorki, czwartki i soboty.

— To znaczy, że w piątek, trzeciego kwietnia nie było gosposi.

— Nie. Ale co to ma do rzeczy? Downar uśmiechnął się.

— Jak już wspomniałem, chcę mieć szczegółowy obraz tamtego dnia. A więc zjadła pani śniadanie i...

— I zabrałam się do wiosennych porządków, a raczej do przeglądania garderoby. Na wiosnę trzeba się zorientować w sytuacji, pochować zimowe rzeczy, zastanowić się nad nowymi zakupami. Wie pan. jak to jest.

— Domyślałam się. I nie wychodziła pani na miasto?

— Rano nie. Dopiero na obiad. Chciałam nawet wyjść trochę wcześniej, coś sobie załatwić, ale zupełnie niespodziewanie wpadła do mnie kuzynka męża i nie mogłam się ruszyć.

— Ach, ci niespodziewani goście. To istna plaga — powiedział Downar.

Uśmiechnęła się.

— Niech pan tego nie bierze do siebie.

— Niestety wystąpiłem dzisiaj właśnie w roli takiego niespodziewanego i nieproszonego gościa. Bardzo mi przykro, ale stało się. Więc przyszła do pani kuzynka pani męża...

— Tak.

— Co to za kuzynka?

— Córka takiej przyłataney ciotki mojego męża.

— Jak się nazywa?

— Iwona Sobańska.

— Panna? Mężatka?

— Jeszcze niezamężna. Czyżby pan szukał żony?

— W końcu trzeba się kiedyś ożenić — powiedział Downar z melancholijnym westchnieniem.

— Wątpię, czy Iwona nadawałaby się jako kandydatka na żonę dla pana. Jest trochę ekscentryczna.

— To może być interesujące. Ale zostawmy tę matrymonialną tematykę.

Chciałbym jeszcze panią zapytać, kiedy pani telefonowała do doktora Mierzwińskiego, żeby się z nim umówić na wieczór?

Potarła dłonią czoło. •

— Kiedy? Zaraz... zaraz... Wszystko to trochę .mi się pokręciło... Muszę sobie przypomnieć.

— Skąd pana telefonowała?

— Z domu naturalnie. To doskonale pamiętam. Chyba jakoś zaraz po przyjściu Iwony.

— Czy pani Sobańska była świadkiem tej rozmowy telefonicznej?

— Nie. Skądże. Tego rodzaju rozmów nie mam zwyczaju przeprowadzać przy świadkach.

Downar wskazał aparat telefoniczny, stojący na małym stoliczku.

— To znaczy, że nie telefonowała pani z tego aparatu.

— Nie. Przeprosiłam Iwonę i na chwilę poszłam na górę. W moim pokoju jest drugi aparat. Oskar to załatwił. To bardzo niewygodne ciągle przenosić telefon z jednego gniazdka do drugiego. Kiedyś nawet upuściłam na schodach i trzeba było płacić za nowy aparat.

— Więc przeprosiła pani kuzynkę — podjął znowu Downar — i poszła pani na górę, do swojego pokoju, żeby zatelefonować do doktora Mierzwińskiego.

— Tak.

— A pani Sobańska została tutaj na dole, w tym saloniku?

— Tak.

— Proszę mi powiedzieć, dlaczego pani właśnie w tym momencie postanowiła zadzwonić do doktora Mierzwińskiego?

— Chciałam go jeszcze zastać w szpitalu. Musiałam się z nim .porozumieć, żeby mu powiedzieć, że wrócił mój mąż. Bałam się jakichś niepotrzebnych

komplikacji. Andrzej... doktor Mierzwiński mógł do mnie przyjść, spotkać się z Oskarem. Sytuacja byłaby bardzo niezręczna... Pan rozumie?

Downar skinął głową.

— Doskonale rozumiem. Po załatwieniu tego telefonu zeszła pani na dół do swojego gościa.

— Oczywiście.

— Co w tym momencie robiła pani Sobańska?

— Siedziała na fotelu i przeglądali! jakieś czasopismo, chyba „Paris Match”.

Oskar przywiózł...

— Czy pani Sobańska przyszła z jakimś konkretnym interesem, czy też była to taka sobie rodzinna wizytka?

— Podobno umówiła się z moim .mężem. Tak przynajmniej powiedziała.

— Czy panią Sobańską łączyły bardzo serdeczne stosunki z pani mężem?

— Nie sędzę. Zresztą nie bardzo wiem. Nigdy nie wtrącałam się do spraw rodzinnych mojego męża.

— A jaki jest stosunek pani do pani Sobańskiej?

— Właściwie żaden. Całkowita i absolutna obojętność. Jesteśmy dla siebie bardzo uprzejme, ale nic poza tym.

— Wie pani, co mnie zastanawia? — powiedział z namysłem Downar. — W jaki sposób pani Sobańska tak szybko dowiedziała się o powrocie pani męża. Przecież pan Łastowski wrócił w czwartek z zagranicy, a w piątek przyszła już do niego z jakimś interesem.

— Od pewnego czasu dzwoniła codziennie, pytając, czy Oskar wrócił.

— Czy nie wydało się to pani dziwne?

— Owszem. To mnie trochę dziwiło. Spytałam ją nawet, dlaczego tak się dopytuje o mego męża.

— A ona co na to?

— Zbyła mnie jakimś żartem. Już w tej chwili nie pamiętam dokładnie.

— Czy pani Sobańska nie powiedziała, jaki interes ma do pani męża?

— Nie. W ogóle nie wspomniała, że czegoś chce od Oskara.

— Czyli cała ta wizyta robiła takie wrażenie, jakby pani Sobańska przyszła do pani?

— Raczej tak. Iwona powiedziała, że coś załatwiała w pobliżu i wpadła do mnie, żeby się dowiedzieć, jak ja się czuję. zaproponowała mi, żebyśmy razem poszły wieczorem do kina.

— Czy panie rozmawiały o pani mężu?

— Tak. Powiedziałam, że Oskar wrócił.

— Jaka. była reakcja pani Sobańskiej?

— Chyba wiedziała, że mój mąż wrócił.

— Czy poprzedniego dnia, zaraz po powrocie mąż pani rozmawiał przez telefon?

— Czy rozmawiał przez telefon? Nie pamiętam.

— Niech pani spróbuje sobie .przypomnieć.

Przeciągnęła dłonią po czole.

— Chwileczkę. Tak. Wydaje mi się, że rozmawiał wieczorem. Tak, tak... na pewno. Teraz sobie przypominam. Nawet go wtedy spytałam, z kim rozmawiał.

' — I co powiedział?

— Ze nie znam tego kogoś, że to w służbowych sprawach.

— Czy słyszała pani tę rozmowę?

— 'Nie.

— Czy może mąż pani rozmawiał z panią Sobańską?

— Nie wiem. Możliwe.

*

Matka Iwony Sobańskiej pozowała na dziewiętnasto wieczną, arystokratyczną matronę. Długa, czarna suknia przybrana była fioletowym żabotem i takiegoż koloru koronkami, które stanowiły ozdobne zakończenie wąskich rękawów. Na bujnych, siwych włosach, upiętych w wyszukaną fryzurę, tkwił staromodny, koronkowy czepeczek, z czarną aksamitką. Stara dama poruszała się ze starannie wystudiowaną godnością i miała zwyczaj posługiwać się nieco protekcyjnym tonem, szczególnie kiedy rozmawiała z kimś, kto jej zdaniem pochodził z tak zwanej „niższej sfery”. Do rozmowy chętnie wtrącała słowa francuskie, niemieckie i angielskie, ale jej własna córka nie wiedziała na pewno, czy mama zna choć jeden z tych języków.

Pani pułkownikowa Sobańska mogła była powiedzieć przez gosposię, że panielki nie ma w domu, ale kobieca ciekawość zwyciężyła.

— Jakiś mężczyzna do Iwonki? Kto to może być? Moja Felicjo, proszę mi powiedzieć, jak wygląda ten człowiek?

— Bardzo przystojny i elegancki pan — odparła siedemdziesięcioletnia pokojówka.

. — Niech Felicja poprosi do biblioteki. Downar został wprowadzony do dosyć dużego, ciemnego pokoju, którego ściany prawie pod sam sufit pokryte były książkami, ustawionymi bardzo porządnie na długich półkach. Nie wiadomo dlaczego wydało mu się, że tych książek nigdy tu nikt nie czyta. Usiadł na wygodnym klubowym fotelu, pokrytym brązową skórą i ciekawie rozejrzał się dokoła. Atmosfera tego staroświecko umeblowanego pokoju była dziwnie zatechła. Przez chwilę miał wrażenie, że znalazł się w ubiegłej epoce. „Nigdy nie przypuszczałem, że jeszcze dzisiaj w Warszawie ludzie tak mieszkają” — pomyślał.

Czas mijał, cisza panowała zupełna, Downar spojrzął raz i drugi na zegarek i zaczął się już niecierpliwić, gdy nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i ukazała się w nich w całej okazałości pani pułkownikowa Marcelina Sobańska. Wejście było tak efektowne, że Downar poczuł się jak na audiencji u królowej angielskiej. Ukłonił się i powiedział swoje nazwisko, nie uważał jednak za stosowne zdradzić się z tym, że pracuje w milicji.

Pracz chwilę pani pułkownikowa mierzyła przybysza inkwizytorskim spojrzeniem. Wreszcie usadowiła się na kanapie pokrytej także brązową skórą i wycedziła przez zęby:

— Proszę usiąść — a kiedy Downar skwapliwie wykonał to polecenie, dodała: — Podobno pan ma jakiś interes do mojej córki. Niestety Iwony nie ma w tej chwili w domu i nie potrafię pana poinformować, kiedy wróci. Nic mam zwyczaju wtrącać się do życia moich dorosłych dzieci. Iwonka jest moją najmłodszą córką...

— Nie będę pani przeszkadzał — powiedział Downar i chciał się podnieść z fotela, ale stara dama zatrzymała go ruchem ręki.

— Wcale mi pan nie przeszkadza. Proszę chwilę posiedzieć. Czy mógłby mnie pan objaśnić, jakiego rodzaju interes ma pan do Iwonki?

W tym momencie Domiarowi przyszła do głowy „genialna” myśl. Przynajmniej tak mu się wydawało.

— Wróciłem, proszę pani, niedawno z zagranicy. Podróżowałem po Austrii, Szwajcarii i po NRD. Podczas mej podróży zaprzyjaźniłem się serdecznie z Oskarem Łastowskim.

— Wie pan już zapewne, że on nie żyje — westchnęła pani pułkownikowa.

— Wiem. Oczywiście. Byłem na jego pogrzebie. Straszne nieszczęście. Taki porządny człowiek.

Stara dama mruknęła coś niewyraźnie i Downarowi wydało się, że może nie jest taka zupełnie przekonana, iż Oskar Łastowski był porządnym człowiekiem.

Skwapliwie zanotował w pamięci tę jej reakcję.

— Pani zapewne także czasem podróżuje — powiedział.

— Ja? Nie. Już jestem za słaba na zagraniczne wojaże, ale moja córka dłuższy czas przebywała za granicą. Może byłaby tam nawet została na stałe, ale zatęskniła za ojczyzną i za starą matką... Co pan chce, żebym powtórzyła Iwonce, jak wróci? . ' "

— Pani będzie łaskawa jej powiedzieć, że chciałby się z nią zobaczyć przyjaciel Oskara Łastowskiego. Jeżeli pani pozwoli, to zostawię numer swojego telefonu.

— Bardzo proszę. Miło mi było pana poznać. Przepraszam, jak pana godność? Bo nic dosłyszałam.

— Downar, Stefan Downar.

— Czy pan może z tych Downarów z Wileńszczyzny?

— Nie, proszę pani. Ja z innych Downarów.

Pani pułkownikowa uśmiechnęła się przepraszająco.

— Proszę mi wybaczyć. Na stare lata człowiekowi trochę pamięć nie dopisuje. Tamci, których miałam na myśli, to byli Wojnarowie, a nie Downarowie. Coś mi się pomieszało. Przepraszam. Nie zatrzymuję pana, bo zapewne pan się śpieszy do swoich zajęć. Au revoir.

Późnym wieczorem w mieszkaniu przy ulicy Koszykowej zadzwonił telefon.

— Halo! Czy pan Downar?

— Przy aparacie. Słucham?

— Mówi Iwona Sobańska. Pan dzisiaj rozmawiał z moją matką.

— Tak.

— Podobno ma pan do mnie jakiś interes.

— Tak. Chciałbym się z panią zobaczyć.
— Gdzie możemy się spotkać? Wolałabym nie u mnie w domu.
— To może w jakiejś kawiarni?
— Doskonale. Proponuję „Kaprys”. Tam jest zawsze dosyć luźno przed południem. Wie pan, gdzie to jest? Mniej więcej naprzeciwko muzeum, koło salonu „Iskier”. Więc o dwunastej. Zgoda? Ale jak ja pana poznam?
— Będę czytał „Zycie Warszawy”, a do butonierki wsunę czerwony goździk.
— A jak pan wygląda?
— Wolałbym uniknąć autoreklamy. Zresztą sędzę, że czerwony goździk wystarczy jako znak rozpoznawczy.

*

Nazajutrz, dziesięć minut przed dwunastą, przy Smolnej zatrzymała się czarna wołga, z której wysiadł Downar. Był w dobrym nastroju. Sporo sobie obiecywał po tym spotkaniu. Córka pani pułkownikowej miała rację. „Kaprys” okazał się miejscem bardzo odpowiednim do poufnej rozmowy. Zajętych było zaledwie parę stolików, przy których toczyły się dyskusje na tematy literacko--edytorskie, jako że w pobliżu mieszczą się dwa wydawnictwa. Downar usiadł koło filara, zamówił kawę i wyjął z kieszeni „Zycie Warszawy”. Nie zapomniał oczywiście i o czerwonym goździku. Zdawał sobie sprawę z tego, iż jest to niezwykle banalny znak rozpoznawczy, ale już dość dawno doszedł do przekonania, że ludziom, z małymi tylko wyjątkami, najbardziej odpowiada właśnie banal.

Nagle spojrzenia gości kawiarnianych skierowały się ku drzwiom. Nawet drzemiąca bufetowa podniosła głowę. Osobę, która swym wejściem wywarła takie wrażenie na obecnych, można by określić jako skrzyżowanie cyrkowego kłowna z rajtarem jego królewskiej mości Karola Gustawa. Spod szerokich rozkloszowanych na dole spodni koloru świeżutkiej jajecznicy wyglądały jasnozielone buty na wysokim obcasie. Czerwony obcisły spencer przepasany był potężnym czarnym pasem, ozdobionym złotymi okuciami i sprzączkami, służącymi zapewne do przypięcia rapieru. Na głowie ogromny filcowy kapelusz z odwiniętym rondem na modłę szwedzką. Kobieta mogła mieć około czterdziestki i była wysoką, dobrze zbudowaną blondynką.

Downar zmartwiał i skurczył się wewnątrz. Do ostatniej chwili miał nadzieję, że to nie jest Iwona Sobańska. Niestety. Kobieta-rajtar sprężystym krokiem szła wyraźnie w jego kierunku.

Kiedy się zbliżyła; wyciągnęła rękę i wskazującym palcem dotknęła czerwonego goździka.

— A więc to pan — powiedziała miłym, dźwięcznym głosem.
— Tak, to ja — bąknął Downar, usiłując ochłonać z pierwszego wrażenia. Usiadła przy stoliku, zdjęła rękawiczki i zamówiła dużą kawę.
— Żadnych ciastek zastrzegła się, mimo iż nikt jej nic nie proponował. Downar był ubawiony tą niezwykłą maskaradą, z drugiej jednak strony zaczynało go

ogarniać zniecierpliwienie. Chciał tę rozmowę przeprowadzić możliwie jak najdyskretniej, a tymczasem...

Kelnerka przyniosła kawę, Iwona Sobańska wsypała do filiżanki dwie łyżeczki cukru, zapaliła papierosa i .powiedziała :

— Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli nie tracąc czasu, wyjaśnimy sobie sytuację.

Downar spojrzął na nią zaskoczony.

— Nie bardzo rozumiem...

Przez chwilę w milczeniu mieszała łyżeczką kawę. Na jej infantylnie małych ustach pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiezek.

— Początkowo miałam zamiar zabawić się w tę całą komedię, ale w tej chwili zmieniłam zdanie. Nie chce mi się. Po prostu mi się nie chce. To wszystko przestało być -dla mnie atrakcyjne. Postanowiłam z tym skończyć. Bo właściwie to nie ma sensu. I tak wcześniej czy później zdecyduję się, więc...

Downar słuchał uważnie. Zaczynał się niepokoić.

— Przyznam się pani, że w dalszym ciągu nie bardzo wiem, o czym pani mówi. Głęboko zaciągnęła się dymem.

— O zamordowaniu Oskara Łastowskiego oczywiście. Przecież po to się pan tutaj ze mną umówił.

— Chyba ma pani rację. Machnęła ręką.

— Dajmy spokój tym wszystkim komediom. Powiedziałam panu, że mnie to przestało bawić. Wiem, że pan jest z milicji. Łatwo się zresztą domyśleć. Będę z panem zupełnie szczerą. To ja zabiłam Łastowskiego.

Downar spojrzął jej w oczy.

— Jest pani pewna, że to pani go zabiła?

Roześmiała się.

— Jest pan wspaniały, doprawdy wspaniały. Chyba ja wiem najlepiej, czy zabiłam, czy nie zabiłam.

— W takim razie proponuję, żebyśmy zmienili lokal — powiedział spokojnie Downar.

— Chce mnie pan zaraz zawieźć do więzienia?

— Nie. Pojedziemy do komendy, gdzie będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

— Nie rozumiem, o czym mamy rozmawiać. Przecież wszystko jest jasne.

Downar kiwnął na kelnerkę i zapłacił.

— Nie zakłada mi pan kajdanek? — spytała Iwona, wstając od stolika.

— Nie-

— Dziwne. Sądziłam, że mordercom zawsze zakłada się kajdanki.

— Nie zawsze.

Poszli do szatni, odprowadzani ciekawymi spojrzeniami. Downar przeklinał w duchu pomysł tego spotkania w kawiarni.

Odbierając od szatniarza dużą podróżną torbę. Iwona powiedziała:

— Zabrałam ze sobą trochę rzeczy, które mogą mi się przydać w więzieniu. Zdaje mi się tylko, że zapomniałam perfum. Ale mamusia przywiezie mi przy okazji. Czy ja będę siedziała na Mokotowie? -

Downar nie odpowiedział. Wziął ją pod rękę i zaprowadził do samochodu. W komendzie nie bardzo podobało się pani Iwonie.

— Tuk tu u was smutno. Nic moglibyście jakichś ładnych obrazów powiesić na ścianach? Ja w tym pokoju proponowałabym coś z impresjonistycznych płócien. Poza tym kwiaty. Nie rozumiem, jak pan tu może żyć bez kwiatów.

Downar połączył się z Walczakiem i poprosił go, żeby był obecny przy przesłuchaniu.

Po chwili wszyscy troje prowadzili dość swobodną rozmowę na tematy obojętne. Downar chciał się trochę zorientować w sytuacji. Bardzo dawno już nie był tak zbity z tropu, a patrząc na Karola widział, że i on podziela jego wątpliwości.

— Może przystąpimy wreszcie do rzeczy? — zaproponowała pani Iwona. — Nie zebraliśmy się tutaj po to, żeby dyskutować o ostatnim meczu piłki nożnej. Sądzę, że dosyć już tej pogawędki o niczym.

Downar chrząknął.

— Jeśli pani sobie życzy?...

— Nic chciałabym narażać panów na niepotrzebną stratę czasu. Pytajcie, o co chcecie, i odeślijcie mnie do więzienia. Jestem ciekawa, jak to naprawdę jest w tym pudle.

— Więc przyznaje się pani do zabójstwa Oskara Łastowskiego? — zapytał Downar

— Przyznałam się już zaraz na wstępie naszej rozmowy. Nie widzę potrzeby, żeby jedno i to samo powtarzać po kilka razy.

— W jaki sposób pani to zrobiła?

— Pchnęłam go nożem chirurgicznym.

— Pchnęła go pani w piersi czy w plecy?

Wzruszyła ramionami.

— Dokładnie nie pamiętam. Czy to wreszcie ma jakieś znaczenie? Chyba w plecy... Nie pamiętam. Byłam podniecona.

— Musiała pani mieć jakiś bardzo poważny powód, żeby to zrobić — powiedział Walczak.

— Oczywiście, że tak. Miałam bardzo poważny powód.

— Czy można wiedzieć, jaki to był powód?

— Wolałabym nie mówić na ten temat. To dla mnie zbyt przykre.

Walczak pochylił się i przywołując na twarz jeden ze swych najbardziej czarujących uśmiechów, powiedział:

— Bylibyśmy pani niesłychanie wdzięczni, gdyby zechciała pani zaspokoić naszą ciekawość i powiedzieć, jakie były motywy tego zabójstwa?

Zmarszczyła brwi i przyjrzała się uważnie najprzód Walczakowi, a potem Downarowi.

— Chciałabym jednak, żeby to zostało między nami. Czy mogą mi panowie przyrzec absolutną dyskrecję?

— Ależ oczywiście — odpowiedzieli zgodnym chórem.

— Wobec tego powiem. To było tak. Jakieś dwa lata temu pojechałam na zaproszenie moich przyjaciół do Szwajcarii. Początkowo wszystko się bardzo przyjemnie układało. Byli dla mnie mili, uprzejmi, uczynni. Po pewnym jednak czasie coś się zaczęło psuć i wreszcie musiałam się wyprowadzić od nich. W Szwajcarii bardzo mi się podobało. Nie chciałam wracać jeszcze do Warszawy, ale nie miałam pieniędzy. Poznałam przypadkowo pewną dystyngowaną starszą panią, która zaproponowała mi współpracę w prowadzeniu luksusowego pensjonatu dla cudzoziemców. Pensjonat ten okazał się domem schadzek, ale to mnie specjalnie nie zraziło, wprost przeciwnie, wydało mi się to czymś bardzo zabawnym. Bo niech sobie panowie wyobrażą: Panna Iwona Sobańska w szwajcarskim burdelu. Voilà. Po pewnym czasie znudził mi się jednakże ten proceder. Później próbowałam zająć się trochę handlem narkotykami i wreszcie wróciłam do kraju. Wszystko byłoby w jak najlepszym porządku, gdyby nie wyjazd do Szwajcarii Oskara Łastowskiego. Dowiedział się o mojej tam działalności i miał mnie w ręku. Bałam się, że mnie skompromituje i dlatego postanowiłam go zlikwidować. Sądzę, że to jest wystarczający motyw.

— Czy mógłbym prosić o torebkę pani? — powiedział Downar.

— Torebkę? Po co panu moja torebka?

— Taki jest u nas zwyczaj. Muszę sprawdzić zawartość torebki.

— Proszę.

Downar pomiędzy różnymi kobiecymi drobiazgami znalazł w torebce receptę.

— Pani się leczy u doktora Rogujskiego? — spytał

— To nie ja. To mama — odpowiedziała szybko, ogarnięta nagłym niepokojem.

— A zresztą niech mi pan nie wspomina o tych wszystkich szarlatanach. Nie meczcie mnie już. Odeślijcie mnie do więzienia. Zabiłam Oskara i nie ma o czym mówić. Jestem zmęczona, bardzo zmęczona.

Doktor Rogujski przekroczył siedemdziesiątkę, ale trzymał się jeszcze bardzo krzepko i nie wyglądał na swoje lata. Twarz czerstwa, rumiana. Oczy błyszczące energią i radością życia. Mówił wolno, wyraźnie, z doskonałą dykcją.

— Więc panowie są z milicji. Proszę, niech panowie siadają. Czym mogę służyć?

— Chcieliśmy prosić pana doktora — zaczął Downar — o pewne informacje dotyczące pani Sobańskiej, która podobno jest pańską pacjentką.

Stary lekarz miał zakłopotaną minę.

— Panowie wybaczą, ale jestem związany tajemnicą zawodową. Mój zawód ma coś wspólnego z księdzem spowiednikiem.

— Oczywiście — wtrącił się do rozmowy Walczak. — Doskonale się orientujemy, że lekarza obowiązuje dyskrecja, ale bywają sytuacje...

— Jakaż to sytuacja? — spytał Rogujski.

— Pani Iwona Sobańska przyznała się do popełnienia zbrodni. Twierdzi, że zamordowała swojego kuzyna, Oskara Łastowskiego. Może pan doktor słyszał coś o tej sprawie?

— Owszem, słyszałem. Podobno zabójstwa dokonano w mieszkaniu jakiegoś lekarza.

— Tak. I pani Sobańska twierdzi, że ona to zrobiła.

Doktor Rogujski przeciągnął dłonią po opalonym górskim słońcem czole.

— To niewątpliwie trochę zmienia postać rzeczy. Tak, pani Iwona Sobańska od dłuższego czasu jest moją pacjentką.

— Pańską specjalnością, panie doktorze, jest psychiatria — powiedział Downar.

— Tak.

— Wobec tego możemy sądzić, iż pani Iwona Sobańska cierpi na jakieś zaburzenia psychiczne.

— Niestety, nie mogę temu zaprzeczyć. I muszę panom szczerze powiedzieć, iż nie wierzę w to, żeby ona popełniła tę zbrodnię. Jestem od lat zaprzyjaźniony z rodziną Sobańskich i tę biedną Iwonkę leczyłem już, kiedy miała kilkanaście lat. Zaczęła kłamać, a te kłamstwa nie miały absolutnie żadnego celu. Pewna odmiana mitomanii. Opowiadała niestworzone rzeczy, w które sama święcie wierzyła. Downar pokiwał głową.

— To co pan doktor mówi, pokrywa się z naszymi obserwacjami. Pani Sobańska twierdzi, iż dłuższy czas przebywała w Szwajcarii, gdzie prowadziła dom publiczny do spółki z jakąś swoją znajomą.

Rogujski uśmiechnął się smutnie.

— W Szwajcarii rzeczywiście była. Przyjaciele jej ojca zaprosili ją i umieścili w doskonałym sanatorium, które ta biedna dziewczyna w swej wyobraźni zmieniała na dom publiczny. To jest niezwykle tragiczna historia, bo poza tymi niesamowitymi urojeniami Iwonka jest bardzo zdolna, bystra i mogłaby, moim zdaniem, zrobić nawet karierę naukową, gdyby nie ta dolegliwość. Kiedy zaczyna mówić, nikt nigdy nie wie, co jest prawdą, a co urojeniem.

— Czy to jest nieuleczalne? — spytał Walczak.

— Raczej nie. Medycyna wciąż jeszcze jest bezradna wobec tego typu schorzeń psychicznych. Ta kobieta przez dłuższy czas może być zupełnie normalna, a nawet może zaskakiwać błyskotliwą inteligencją, pomysłowością i najzupełniej logicznym rozumowaniem. Nagle, ni stąd, ni zowąd opowie jakąś fantastyczną historię, w którą sama wierzy i jest święcie przekonana, że jakieś tam fakty miały rzeczywiście miejsce. Stosowaliśmy już różne metody leczenia. Wszystko jednak na próżno.

— Dziękujemy panu doktorowi za informacje — powiedział Downar. — Nie zabieramy czasu.

Kiedy znaleźli się w samochodzie, Walczak z uśmiechem spojrzął na przyjaciela.

— No i cóż, Stefan? Nie bardzo ci to wyszło. Już po samym stroju można się zorientować, że babka ma nielicznego szmergla.

— Głupstwa gadasz — mruknął Downar. — Chyba nie przyglądasz się kobietom. Teraz nawet zupełnie normalne tak się ubierają, jakby za chwilę miały wystąpić w cyrku na arenie. Nie, mój drogi, w dzisiejszych czasach nie poznasz wariatki .po stroju.

— Nowa trudność dla biednego milicjanta — westchnął Walczak i zaczął gwizdać „Mała kobietko, czy wiesz...?”

Kalicki siedział przy maszynie i pracowicie przepisywał ostatnią serię politycznych kawałów, gdy zupełnie niespodziewanie zadźwięczał dzwonek u drzwi wejściowych. „Kto to może być?” zdziwił się kolekcjoner, ale ponieważ nie spodziewał się nikogo, więc sądząc, że to jakaś pomyłka, w dalszym ciągu najspokojniej stuknął tłustymi palcami w klawisze maszyny.

Dzwonek odezwał się znowu, tym razem dłużej, natarczywiej. Nie było rady. Kalicki z pewnym wysiłkiem uniósł swoje solidnie odżywione ciało, poczłapał do przedpokoju i przekręcił zatrask. Tuż przed sobą zobaczył wysokiego, barczystego mężczyznę o śniadej pociągłej twarzy i przenikliwym spojrzeniu.

— Pan do kogo?

— Do pana Kalickiego.

— To właśnie ja jestem. A o co chodzi?

— Jestem z milicji. Mam do pana interes.

Zbieracz kawałów zbladł gwałtownie. „Wpadłem” pomyślał zrozpaczony i poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. „Ktoś mnie sypnął”.

Downar z pewnym zdziwieniem obserwował grubasa i był skłonny tłumaczyć sobie zupełnie fałszywie jego zmieszanie.

— Czy mógłbym z panem chwilę porozmawiać? — spytał.

— Ależ oczywiście, oczywiście... Bardzo chętnie... Naturalnie... Proszę, pan będzie uprzejmy... — mówił szybko Kalicki, który już ochłonał z pierwszego wrażenia. — Przepraszam za nieporządek, ale nie spodziewałem się gości. Pan zapewne w sprawie tego nieprawidłowego zaparkowania wozu. Przyznaję, że to była moja wina. Mandat oczywiście zapłacę. Bardzo chętnie. Jak się przekroczy przepisy, to trzeba płacić. Nie wymiga się człowiek. Trudno i darmo. Zna pan ten kawał na temat „trudno i darmo”?

— Nie, nie znam — powiedział coraz bardziej zdziwiony Downar. — I muszę panu powiedzieć, że ja wcale nie w sprawie mandatu.

Kalicki pośpiesznie zebrał maszynopisy z biurka i wsunął je do szuflady.

— Proszę, niech pan siada. Proszę uprzejmie. W czym mógłbym być pomocny naszej kochanej milicji? Zawsze mówię, że społeczeństwo ciągle jeszcze za mało śpieszy milicji z pomocą. Ale miejmy nadzieję, że to się zmieni. Może papierosika?

Downar potrząsnął głową.

— Dziękuję. Nie palę. Chciałbym z panem pomówić o doktorze Mierzwińskim.

— O Andrzeju? Bardzo chętnie. Dlaczegoż by nie? Ale w dalszym ciągu nie rozumiem, o co chodzi?

— Chodzi o morderstwo.

— O morderstwo? — Kolekcjoner kawałów odetchnął z ulgą. Widać było, że się odprężył.

— Tak — mówił dalej Downar. — Nie wiem, czy pan słyszał o tym, że w mieszkaniu doktora Mierzwińskiego zamordowano człowieka?

— Nic nie słyszałem. To straszne. — Kalicki patrzył na Downara szeroko otwartymi oczami. — Twierdzi pan, że Andrzej... że Andrzej zabił kogoś?

— Prowadzimy dochodzenie w tej sprawie — odparł wymijająco Downar. — Pan jest przyjacielem pana Mierzwińskiego, prawda?

Kalicki znowu się zmieszał. Nie chciał powiedzieć coś niepotrzebnego, ale zdawało mu się, że wszystko, co powie, będzie niepotrzebne.

— Tak... To znaczy... Wie pan,.. Cóż... Przyjaźń to wielkie słowo.

Kolegowaliśmy z Mierzwińskim. Byliśmy razem na medycynie. On skończył, ja nie... Tak się złożyło. Straciłem z nim kontakt. Bardzo rzadko go widuję.

— Nie lęk chyba bardzo rzadko. O ile mi wiadomo, był pan niedawno z doktorem Mierzwińskim na obiedzie w „Kameralnej”.

— Tak... Owszem... Przypadkowo... Downar uśmiechnął się.

— Niech mi pan powie, drogi panie, dlaczego jest pan taki zdenerwowany?

Kalicki aż podskoczył.

— Ja? Zdenerwowany? Nic podobnego. Jestem zupełnie spokojny, absolutnie spokojny. Może tylko trochę spieszyła mnie pańska wizyta, bo, prawdę mówiąc, nie jestem przyzwyczajony rozmawiać z oficerami milicji.

— Oficer milicji pana nie zje — zapewnił go Downar. — Proponuję, żeby pan przestał się denerwować i żebyśmy mogli spokojnie porozmawiać.

— Z największą przyjemnością! — wykrzyknął! grubas, wycierając chustką spocone czoło. — Przepadam za spokojnymi rozmowami.

— To się świetnie składa. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

— Bardzo proszę.

— Czy pamięta pan dokładnie ten dzień, kiedy jadł pan obiad w „Kameralnej” w towarzystwie doktora Mierzwińskiego?

Kalicki skinął głową.

— Tak. Mniej więcej. Czy panu chodzi o to, co żeśmy wtedy jedli?

— Niezupełnie. Chciałbym wiedzieć, o czym panowie wtedy rozmawiali?

— O. tego dokładnie nie pamiętam. Tak gawędziliśmy o tym i o owym. Ale nie przypominam sobie, żeby to było coś specjalnie interesującego.

— Czy doktor Mierzwiński wspomniał podczas tego obiadu, że ma się spotkać wieczorem z jakąś kobietą?

— Tak. To sobie przypominam. Chciałem, żeby poszedł ze mną do kina, ale powiedział, że nie może, bo ma randkę o dziewiątej w „Wilanowskiej”.

— Czy pan wiedział, z kim doktor Mierzwiński miał się spotkać o dziewiątej wieczorem?

— Domyśliłem się, że chodziło o panią Łastowską, z którą Andrzej ostatnio romansował. Nieraz mu mówiłem, że to uganianie się za kobietami musi się źle skończyć. No i wreszcie wpadł.

— Czy uważa pan doktora Mierzwińskiego za takiego Don Juana? — spytał Downar.

Kalicki roześmiał się.

— Nie tylko ja. Wszyscy uważają go za Don Juana. Co na placu, to nieprzyjaciel. Andrzej żadnej nie przepuści. Nawet pielęgniarkom w szpitalu nie daruje.

— Co pan powie? — zainteresował się Downar. — Uwodzi nawet pielęgniarki?

— Żeby pan wiedział. Kolosalna heca była z tą Alicją. Podobno chciała sobie życie odebrać, jak ją rzucił. — Kalicki westchnął i znowu wytarł starannie pokryte kroplami potu czoło. — Przyznam się panu, że ja tego zupełnie nie rozumiem. Żeby tak sobie komplikować życie jakimiś idiotycznymi romansami. Nonsens. Nie lepiej to pójść na obiad...

— A propos — przerwał Downar. — Może mi pan jeszcze powie, co pan robił tamtego dnia po zjedzeniu obiadu w towarzystwie doktora Mierzwińskiego.

Kalicki końcem języka zwilżył swe grube czerwone wargi.

— Co robiłem? Pojechałem do domu, żeby się trochę zdrzemnąć.

— A potem?

— Potem poszedłem na ósmą do kina.

— Do którego kina?

— Do „Warsa”.

— Czy sam pan był w kinie?

— Sam.

— O której pan wrócił do domu?

— Myślę, że około jedenastej, może wcześniej. Dokładnie nie pamiętam.

— Czy pan zna panią Łastowską?

— Tak. Kiedyś ją poznałem w jakimś towarzystwie. Bardzo piękna kobieta.

— A skąd pan wie, że doktora Mierzwińskiego coś łączyło z panią Łastowską?

— Ocli, proszę pana... Warszawa to małe, plotkarskie miasto. Taka rzecz długo się nie ukryje. Zresztą kiedyś spotkałem Andrzeja z panią Łastowską.

— Gdzie?

- W kinie. Ja bardzo lubię chodzić do kina.

— Czy mógłbym skorzystać z pańskiej maszyny? — spytał Downar. —

Przepraszam, ale przypomniałem sobie, że muszę wysłać pilne pismo.

— Ależ bardzo proszę. Pan będzie łaskaw.

Wziąwszy próbkę maszynowego pisma, Downar pożegnał grubasa, który odetchnął z prawdziwą ulgą. Skwapliwie odprowadził swego gościa do drzwi, rozpluwając się w uprzejmościach.

Tego samego wieczoru Downar odwiedził Mierzwińskiego.

— Szkoda, że pan mnie nie zawiadomił telefonicznie — powiedział młody lekarz. — Mógł mnie pan nic zastać.

— Wybiera się pan gdzieś?

— Nie. Przed chwilą odwołałem jedno spotkanie. Nie jestem w nastroju do towarzyskich rozmówek o niczym. Czy przynosi mi pan jakieś sensacje panie majorze?

Downar uśmiechnął się.

— Na razie żadnych sensacji. Chciałem po prostu z panem chwilę porozmawiać.

— Bardzo mi miło, że mnie pan odwiedził.

— Chodzi mi o pewne drobne szczegóły — mówił dalej Downar. — Tak od razu trudno o wszystkim pamiętać. O niektórych sprawach człowiek przypomina sobie dopiero po pewnym czasie.

Mierzwiński patrzył badawczo na mówiącego.

— Proszę mi wierzyć, panie majorze, że zrobię wszystko, żeby panu pomóc.

Wydaje mi się jednak, że nie mam nic więcej do powiedzenia w tej niesamowitej sprawie. Raz jeszcze tylko mogę pana zapewnić, że to nie ja zabiłem Łastowskiego.

— O tym nie potrzebuje mnie pan zapewniać — powiedział Downar. — Im dłużej zajmuję się tą sprawą, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że pan nie jest kandydatem na mordercę.

— Jestem szczęśliwy, że pan tak myśli.

— A teraz niech pan posłucha, panie doktorze... — Downar odchrząknął i przygładził włosy dłonią. — Bardzo bym chciał, żeby pan ze wszystkimi, najdrobniejszymi szczegółami opowiedział mi, co się stało owego feralnego dnia, kiedy u pana w mieszkaniu zamordowano Łastowskiego. Ja wiem, że to męczące powtarzać tak w kółko jedno i to samo, ale proszę uzbroić się w cierpliwość.

Mierzwiński westchnął zrezygnowany.

— No więc tak... Rano wstałem, ubrałem się, zjadłem śniadanie i pojechałem jak zwykle do szpitala. Czekają mnie dwie operacje...

— Czy pamięta pan, kogo pan wtedy operował?

— Nazwisk nie pamiętam. Wiem, że to byli mężczyźni. Chyba woreczek żółciowy i wyrostek z komplikacjami. Nazwiska można sprawdzić w szpitalu.

— Dokąd pan poszedł po dokonanych operacjach?

— Do pokoju lekarskiego. Byłem zmęczony. Chciałem trochę odpocząć.

— I wtedy zadzwoniła pani Łastowska, żeby się z panem umówić w kawiarni.

— Tak.

— Czy podczas tej rozmowy telefonicznej był ktoś w pokoju lekarskim oprócz pana?

Mierzwiński zmarszczył brwi.

— Zaraz... zaraz... Muszę sobie przypomnieć... Chwileczkę. Tak... była Alicja. To ona odebrała telefon. Teraz sobie dokładnie przypominam.

— I słyszała pańską rozmowę.

— Tak.

— A kto to jest Alicja?

— To jedna z pielęgniarek.

— Dlaczego pan ją tak familiarnie nazywa?

Mierzwiński zmieszał się.

— Tak sobie. Z przyzwyczajenia...

— Czy pana coś łączy albo może łączyło z tą pielęgniarką?

— Jest pan bardzo niedyskretny, panie majorze.

KOZUZIAŁ VII

Była zupełnie spokojna i pewna siebie. Obojętne, chłodne spojrzenie utkwiała w twarzy mężczyzny siedzącego za biurkiem. Nie wyczuwało się w niej strachu, zmieszania czy choćby najmniejszego niepokoju. Spytała, czy wolno palić i teraz zaciągała się głęboko dymem, strzepując pedantycznie popiół do popielniczki.

— Proszę podać imię i nazwisko — powiedział urzędowym tonem Downar.

„Jestem dużo bardziej zdenerwowany od tej dziewczyny” — myślał, usiłując zapanować nad podnieceniem. „Bo jeżeli i ta poszlaka okaże się fałszywa...”

— Miechocka Alicja.

— Wiek?

— Dwadzieścia osiem lat.

— Zawód?

— Przecież pan wie. Pielęgniarka.

— Czy pani zna doktora Mierzwińskiego?

— Oczywiście. Pracuje w naszym szpitalu.

— Czy łączą panią jakieś bliższe stosunki z doktorem Mierzwińskim?

— Na szczęście nic mnie już z tym mordercą nie łączy.

— Z mordercą?

— No tak. Przecież cała Warszawa wie, że to on zamordował Łastowskiego. Nikt nie może zrozumieć, dlaczego do tej pory go nie zanikniecie.

— To znaczy, kto nie może zrozumieć?

— Ludzie.

— Ale konkretnie, jacy ludzie? Wzruszyła ramionami.

— Nic będę przecież panu wymieniała tutaj wszystkich nazwisk.

— A skąd pani wie, że doktor Mierzwiński zabił pana Łastowskiego?

— Słyszałam.

— Od kogo?

— Nic mam pojęcia. Nic pamiętam. Z tyloma ludźmi rozmawiam...

— Przed chwilą pani powiedziała tak: „Na szczęście nic mnie już z tym mordercą nie łączy”. To znaczy, że kiedyś coś panią łączyło z doktorem Mierzwińskim.

— A pana co to właściwie obchodzi?

Downar uśmiechnął się. Tupet tej dziewczyny zaczynał go bawić.

— Czy pani często odwiedzała doktora Mierzwińskiego w jego mieszkaniu? — spytał, biorąc długopis do ręki.

— Ja w ogóle nigdy nie byłam u niego w mieszkaniu. Nie chcę mieć z tym człowiekiem nic wspólnego. To podły drań, zboczeniec, morderca. Nic rozumiem, dlaczego nie siedzi w więzieniu. Na co czekacie?

— Więc pani twierdzi, że nigdy pani nie była w mieszkaniu doktora Mierzwińskiego?

— Nigdy.

— To dziwne — powiedział wolno Downar. — To naprawdę bardzo dziwne. Bo jak można sobie wytłumaczyć fakt, że w piątek trzeciego kwietnia zostawiła pani odciski swoich paluszków właśnie w mieszkaniu doktora Mierzwińskiego. Obraz linii papilarnych jest bardzo wyraźny i nie budzi żadnych wątpliwości. Może pani nawet sama obejrzeć, jeżeli pani ma ochotę. Nie wiem tylko, czy pani się na tym zna.

Milczała. Uciekła spojrzeniem w bok. Nagle jakby się skurczyła.

— No wiec jak — nalegał Downar. — Może mi pani wyjaśni tę zagadkę. Jak wiadomo, nie ma na świecie dwóch osób, które miałyby jednakowe linie papilarne. Jeden z moich współpracowników był w szpitalu i postarał się o szklanekę, na której pani zostawiła odciski palców, które następnie porównaliśmy z materiałem daktyloskopijnym zebrany w mieszkaniu doktora Mierzwińskiego. I jeszcze jeden szczegół. Czy pani umie pisać na maszynie?

— Nie.

— To chyba nie jest zgodne z prawdą. Sprawdziliśmy wszystkie maszyny do pisania, jakie w obecnej chwili znajdują się w posiadaniu szpitala, w którym pani pracuje. Otóż... na jednej z tych maszyn, starej, od dawna właściwie nie używanej, został napisany anonim, który otrzymał pan Łastowski. Co więcej na tej maszynie znaleziono odciski pani palców. Wszystko na to wskazuje, że pani napisała ten anonim.

— Tak.

— I pani zamordowała Oskara Łastowskiego.

— Tak.

Słowa padały ostre jak świst bata. Downara zaskoczyła zimna krew tej dziewczyny. Dopiero teraz zorientował się, z jakim typem ma do czynienia. Nie wątpił w to, że na każde pytanie otrzyma odpowiedź.

— Więc pani przyznaje się do zabicia Oskara Łastowskiego? .

— 'Przed chwilą to zrobiłam. Po co mamy w kółko powtarzać jedno i to samo?

— Czy morderstwa dokonała pani lancetem doktora Mierzwińskiego?

— Nie. Przyniosłam ze szpitala nóż chirurgiczny.

— Czy w szpitalu nie zauważono braku tego noża?

— Owszem, zauważono. Szukali. Lekarze nawet żartowali, że może doktor Kornak zostawił nóż w jamie brzusznej pacjenta.

— Dlaczego pani zabiła Łastowskiego?

— Byłam pewna, że ten łajdak Mierzwiński zostanie powieszony albo do końca życia będzie siedział w więzieniu.

— Jeżeli pani tak nienawidzi Mierzwińskiego, dlaczego jego pani nie zabiła?

— To nie byłaby żadna kara. Nawet nie zorientowałyby się, że umiera. Co innego czekać w więzieniu na wykonanie wyroku śmierci. Chciałam, żeby się bał, żeby umierał ze strachu.

W tych słowach było tyle nienawiści, tyle zimnego okrucieństwa, że Downar poczuł się nieswojo. Wielu już w życiu widział cynicznych zbrodniarzy, ale że ta

młoda, piękna dziewczyna była zdolna do popełnienia zbrodni z premedytacją, przechodziło ludzkie pojęcie.

— Czy nie pomyślała pani o tym, że zabija pani niewinnego człowieka?

— W moim zawodzie przyzwyczałam się do widoku śmierci. Nieraz widziałam, jak człowiek kończył się pod nożem chirurgicznym. Te rzeczy na mnie nie robią wrażenia.

— Może mi pani opowie, jak to wszystko się odbyło?

— Zwyczajnie. Słyszałam, jak Mierzwiński umawiał się z Łastowską. Napisałam list do Łastowskiego i czekałam, aż wróci do domu. Parę razy telefonowałam. Nikt nie odbierał. Wreszcie odezwał się męski głos. Powiedziałam, że chcę mówić z panią Łastowską. Odparł, że żony nie ma w domu. Wtedy pobiegłam do ich mieszkania, wsunęłam list pod drzwiami, zadzwoniłam i uciekłam na półpiętro. Słyszałam, jak powiedział: „Cóż to za tajemnicza korespondencja”. Byłam pewna, że otrzymał list. Dobrze pomyślane, prawda?

— Znakomicie — przyznał Downar. — I potem wieczorem poszła pani do tego domu, w którym mieszka Mierzwiński

— Oczywiście. Zaopatrzyłam się przedtem w nóż chirurgiczny. Potem to już było proste. Ukryłam się na półpiętrze i czekałam, aż przyjdzie Łastowski.

— Była pani pewna, że przyjdzie?

— No... całkowitej pewności oczywiście nie mogłam mieć, ale przypuszczałam, że jednak przyjdzie. Mężczyźni lubią takie numery. Łastowskiemu do rozwodu mogło się przydać schwywanie żony in flagranti.

— Pani była bardzo dobrze poinformowana o małżeńskich sprawach państwa Łastowskich.

— Powodzenie każdego przedsięwzięcia w osiemdziesięciu procentach opiera się na dobrej informacji — powiedziała z uśmiechem protekcyjnej wyższości.

— Jednakże mimo doskonałej informacji pani przedsięwzięcie nie zostało uwieńczone sukcesem — zauważył Downar.

Westchnęła.

— Przegrałam. To prawda. Popełniłam kardynalny błąd. Rękawiczki. Zdjęłam rękawiczki. Byłam pewna, że wina Mierzwińskiego będzie dla milicji oczywista. I paskudnie wpadłam. No cóż... mówi się trudno. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

Downar potrząsnął głową.

— Na razie nie.

— To dobrze, bo już mnie zaczynała nudzić ta rozmowa.

Kiedy drzwi zamknęły się za Alicją, Downar jeszcze długo siedział nieruchomo, pogrążony w ponurej zadumie. Wreszcie podniósł słuchawkę i nakręcił numer Walczaka.

— Wiesz co, Karolu? — powiedział, usłyszawszy głos przyjaciela. — Dzisiaj jest piątek. Jeżeli mógłbyś dostać jeszcze bilety na koncert, to chętnie z tobą pójde.

